SZKICE

OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

(Każda powieść tego zbioru przedaje się osobno.)

SZKICE
OBYCZAJOWE
I HISTORYCZNE.

(J. I. KRASZEWSKIEGO.)

ODDZIAŁ DRUGI.

Powieść ósma.

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno. 1841 roku 29 Junij.

Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego
Radźca Kollegialny i Kawaler
Jan Waszkiewicz.

OSTATNIA

Z XIĄŻĄT SŁUCKICH.


T:II

OSTATNIA
Z XIĄŻĄT SŁUCKICH.
KRONIKA
z czasów Zygmunta trzeciego

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

z trzema rycinami.

TOM II.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

I.

Wieści. Narada pod Ratuszem. Wójt u Rektora.

I.

Wieści. Narada pod Ratuszem. Wójt u Rektora.

Po tym wypadku, któryśmy opisali, nie było już ani nadziei, ani podobieństwa zgody — obie strony gotowały się wziąść do oręża: Radziwiłłowie do napaści,

Chodkiewicze do obrony; a że, jakeśmy wyżéj rzekli, umowa druga naznaczyła dzień szósty Lutego 1600 roku za termin wydania Xiężnéj, i to w Wilnie, w kamienicy Chodkiewiczów, to więc owa gorsząca walka rozpocząć się miała.

Lecz siły były bardzo nierówne, bo jakkolwiek Chodkiewicze mieli swoje znaczenie w kraju i przyjaciół możnych i związki; daleko ich więcéj mieli Radziwiłłowie, a Wojewoda, stojąc na czele związku Protestantów i Greków, spokrewniony z Xiążęty Ostrogskiemi, przez nich całą Ruś starowierną mający za sobą reformowanych zaś, jako braci w wierze, popiérał się niemi silnie. Partji téj Chodkiewiczowska żadną miarą sprostać nie mogła. Prócz tego dom Radziwiłłów, wcześnie zrozumiawszy, jaką dla nich w kraju pomocą być mogła drobna szlachta, na dwory ją swoje zwoływał, protegował, forytował na urzędy, dawał dożywocia, jurgielty, swatał, żenił, i tym sposobem mnóstwo miał przyjaznych i obowiązanych, którzy nietylko na Sejmikach czynili co chcieli protektoro-

wie, lecz i teraz gotowi byli na zawołanie siąść na koń z szablą w ręku, nie wchodząc w jakiéj sprawie i dla czego. Takiéj szlachty, imieniowi Radziwiłłów zaprzedanéj, było bardzo wiele po całéj Litwie; ona nie patrzyła słuszności sprawy, lecz ślepo posłuszna była rozkazom: najechać, pogromić, nie dopuścić do deputacji na Sejmikach; zakrzyczéć, pobić, dla nich było rzeczą łatwą i pospolitą. Szlachta wcześnie zepsuta moralnie, czyli raczéj zobojętniona na moralne znaczenie czynności, nie zastanawiając się sama przez się nad tém, do czego użytą być miała, szła ślepo za Panami, którzy ją poili, karmili, a czasem w potrzebie głaskali. Jak Radziwiłłowie ujmowali szlachtę *czapką* i *papką*, to jest uściskiem braterskim i stołem zastawnym suto, w historji ich domu pozostały niezatarte ślady. X. Mikołaj Krzysztof, Sierotką zwany, powtarzał nieustannie, że się nie zowie Radziwiłł lecz *Rad-żywił*. Taka była polityka, rachuba i innych tego przemożnego domu członków. Dodajmy, że różnica wiary była w ich ręku bronią także, szli i tacy z Radzi-

wiłłem, którzy nienawidzili Katolików, i cieszyli się walką z niemi. To też nie dziw, że gdy w tym razie ozwali się do szlachty przez listy i posłów Radziwiłłowie, słudzy ich domu (tak ich zwano) chwycili się za ich sprawę do broni bez zastanowienia. Rozpisał Pan Wojewoda wezwania na wszystkie strony, gruchnęła z niemi wieść o przyszłej domowej wojnie. Po Koronie i Litwie, nikt z tych, którzy mieli jakiekolwiek związki z domem Radziwiłłów, nie odmówił pomocy swej; tak jakby wszyscy mieli na sercu wszczepić na Litwie wojnę domową.

Główni pomocnicy partji Protestanckiej byli naprzód Xiążęta Ostrogskie trzej: P. Kasztelan Krakowski, Wojewoda Kijewski i Wojewoda Wołyński. Oni, chowając tyle ludu na swych dworach, najmocniejsi magnaci na Rusi Litewskiej, obiecywali silny przystawić sukurs. Każdy z nich w sześćset koni a siedemset hajduków miał przybyć, co już wzięte razem czyniło trzy tysiące dziewięćset ludu. Jakkolwiek mniej znaczny, nie tak zamożny P. Abramowicz Wojewoda Smoleński, który i jako Ewangelik trzymał się Radziwiłłów, i jako prote-

gowany od nich, z obowiązku szedł wszędzie za niemi; choć nietak wiele obiecywał, chcąc jednak mieć jakikolwiek udział w tej sprawie, którą za sprawę wiary uważał, miał przystawić przynajmniej pięćdziesiąt koni ze swego dworu. Szwagier Wojewody Pan Mikołaj Naruszewicz Kasztellan Żmudzki, dawał sto koni i stu hajduków. Zamojski nawet nie wahał się obiecywać, że nadeśle ludzi z Podola. X. Kurlandski na wezwanie Wojewody odpisał, że mu część swéj Rajtarji przystawi. Xiąże Jerzy Radziwiłł za kilkaset od siebie koni zaręczył, inni co kto mógł ofiarowali. Lew Sapieha, choć przyjazny i połączony blizko z Wojewodą, nie obiecywał jednakże ludzi— Było to, jakeśmy powiedzieli, w jego charakterze, że się kompromitować nie lubił, i jako Katolik, i jako Króla partyzant wielki, przeciw Chodkiewiczom wyraźnie nie chciał stawać, bo oni wyraźną łaskę Zygmunta III. mieli za sobą, i stali na czele Litewskiego Katolickiego stronnictwa.

Co się tycze sił Chodkiewiczów, te ani się mogły mierzyć we względzie liczby z Radzi-

wiłłowskiemi. Chociaż ich wspierała cała partja Katolicka, nikt im jednak, lub tak jak nikt, wyraźnéj w ludziach pomocy nie obiecywał. Dla tego też chcąc się postawić na stopie obrony przeciw Radziwiłłom, musieli po większéj części wszystko kosztem swoim czynić, a kosztem wielkim: lud spisywać, najmować, opłacać, po kraju i za granicą zbiérać. Przyszło do tego, że dla intryg Radziwiłłów, trzeba im było najwięcéj po ościennych krajach szukać żołnierza, któren nie szedł, chyba nad miarę opłacony. Gdy do tego dodamy, że nie mieli wówczas bardzo rozległych i wielkich majętności, ani skarbów, pojmiemy jak ta potrzeba obrony stawiła ich w trudném położeniu, gdy majątki swoje musieli zadłużać i pozostawiać, aby pieniędzy dostać na opłatę ściągającego się wojska. Tym sposobem spodziéwał się Jan Karol Starosta Żmudzki, będący na czele zbrojnych sił partji swojéj, zebrać najmem do tysiąsa sześciuset ludu jezdnych, a sześćset piechoty. Miał także za staraniem swym zapewnione działa do umocnienia swéj kamienicy.

Prędko wieść o tych przygotowaniach, nikomu już nietajnych, doszła do Króla; cały kraj mówił o tém i wypadkiem przygotowań był zajęty; wszyscy jednak na samo porównanie sił stron obu zapowiadali upadek Chodkiewiczom, a z niemi Katolikom, sądząc, że Wojewoda gdy raz zwycięży, i takie wojsko w ręku mieć będzie, nie omieszka z groźnéj postawy korzystać dla zapewnienia sobie i swojemu stronnictwu przewagi znamienitéj w Litwie. To Katolików trwożyło, ba i samego Króla, do którego coraz częściejsze dochodziły insynuacje aby się wdał swą powagą w tę sprawę. Lecz Król JMość nie wierząc spełna w to, co donoszono, zwlekał stanowcze wdanie się swoje; a może też i czuł, mimo swego niedaleko sięgającego wzroku, że Radziwiłłowie niewiele na jego pośrednictwo zważać będą.

Wojewoda odprawieniem ostatniego poselstwa zajętrzony bardziéj jeszcze na PP. Chodkiewiczów, ani się już więcéj o zgodę i umowę odezwał. Obie strony czekały szóstego Lutego z niecierpliwością i niespokojem.

A jakkolwiek Wojewoda silniejszy był i pewniejszy swego, niezupełnie jednak na wypadek ostateczny był obojętnym.

W takim stanie rzeczy przebiegły ostatnie miesiące 1599 roku, zaczął się w trwodze r. 1600 i zbliżał się Luty.

Tym czasem Król Zygmunt zniewolony blizkiém już rozwiązaniem się sprawy i dochodzącemi go o przygotowaniach wielkich słuchami, wybrał nareście cztérech Senatorów od siebie, i dawszy im listy do obu stron powaśnionych, aby do oręża brać się nie śmiano i nie rozpoczynano wojny domowéj, polecił im, aby czynili co tylko będzie w ich mocy dla odwrócenia zgubnego krwi przelewu. Panowię Senatorowie ruszyli do Wilna w Styczniu r. 1600, lecz nim przybyli tutaj i działać rozpoczęli, słuszna wrócić do opisania dalszego toku rzeczy w samém Wilnie.

Miasto było w niespokojności, czując, że nań piérwsze klęski spaść miały z téj wojny, która zawiązać się obiecywała na jego Rynku, na ulicach! Niektórzy już mieszczanie myśleli się wynosić, przewidując wszystko, co na

nich sciągnie natłok kilku tysięcy niesfornego żółdactwa przeciwnych partij. Próżno odzywali się z ubolewaniem i niepokojem o stan miasta, nikt na to nie zważał; zmuszeni zostali w końcu przypomnieć się wyraznie stronom zabierającym do walki.

Duch miejskiej ludności sprzyjał więcej Katolickiej partji, niż protestanckiej, gdyż większa część miasta Katolików była; Rusini tylko w niewielkiej liczbie, skonfederowani w r. 1599, któremi Wojewoda się opiekował, zasłaniając ich od Jezuitów, za nim i jego byli. Na czele Magistratu stał wówczas Wójt Wileński, nieprawnie przez Króla mianowany, gorliwy Katolik i najniższy sługa Jezuitów P. Maciej Borzyminski Sekr. K. J. M. Inni zasiadający z nim Ławnicy byli po połowie Grecy, Katolicy w połowie, już jednak w ławie Greckiej więcej było Unitów, niż Starowierców. Toż samo działo się między Burmistrzami i Radźcami, gdzie też Katolicy przeważali, i wpływ Jezuitów był bardzo wielki, choć go cząstkowe spory z Magistratem nadwerężały chwilowo. Wójt Borzymiński był

Sodalisem Bractwa Bożego Ciała, i Miłosierdzia Jezusowego, i do tego tercjarzem zakonu— to go dostatecznie maluje.

Na początku 1600 roku, kiedy się całe miasto plotkami i wieściami o przyszłéj rozlegało wojnie, chłodnym rankiem Styczniowym Ratusz zaczął się napełniać mieszczany. Jedni z nich szli sklepy swoje otwiérać, drudzy śpieszyli na Ratusz, inni sprawy sądzić w Ławie, inni do Skarbcu, wagi, postrzygalni i t. p. PP. Burmistrzowie, Rajcy, Ławnicy, Pisarz, wszystko to stało zgromadzone u wielkich drzwi Ratusza, gdy dziewiąta biła na półzégarzu wieżowym. Rozmowa toczyła się właśnie o owych rozruchach, a niektórzy widzieli je ze strony najniebezpieczniéjszéj dla miasta— mianowicie bogatsi i lękający się o całość swych dostatków, ci, którzy lubiąc spokojność, obawiali się zapisywania gospód po domach dla przybyłych téj i tamtéj strony posiłkujących. Jedni drugim rozpowiadali co słyszeli.

—Ja, Panie Bazyli, rzekł jeden gruby i czérwony, słyszałem zapewno od dworzanina P. Starosty, który to miał od Półkownika,

który Półkownik słyszał z ust JMP. Starosty samego, iż niechybnie w ulicach strzelać będą, a nie w polu; jak WM. mówicie się spotkają.

— Inaczéj, rzekł drugi — nacóżby kamienicę fortyfikowali?

— Wszyscy wiedzą, że tam jest już osiémdziesiąt dział (!) pozaciąganych po kątach; kaci wiedzą wiele ich jeszcze naprowadzą. Mówią że nawet w oknach od ulicy, w paradnych komnatach działa stoją.

— Co się tycze Wojewody, rzekł inny, to wiémy, że jak tu wojska nawiedzie, niechybnie Katolików heretycy w pień wytną, Kościoły porabują, Xięży wyduszą — Co o kramach i sklepach, to już i nie gadać. A zatém trzeba wcześnie myśléć o sobie — Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Zapewne! zapewne! wszystko to być może; aleź Król Jego Mość, odpowiedział piérwszy — czyż podobna, aby pozwolił?

— Otoć Król Jego Mość nie włoży palca między drzwi, rzekł inny mieszczanin; choćby i chciał dopomódz Chodkiewiczom, nie może.

Chyba zabroni brać się do oręża, bo inaczéj sukursować nie potrafi.

— Alboż go Wojewoda usłucha — prawił trzeci; on się śmieje z rozkazu, kiedy tylo wojska ma na zawołanie z Rusi i z Kurlandji, i Bóg wié zkąd. Powiadają, że Tatar i Turków pogan na zagładę imienia Katolickiego wezwał.

— No, azatém, odpowiedział inny znowu, kto ma rozum, niechaj się jak od powietrza wynosi z Wilna przed terminem, i niech im tylko mury odarłszy z nich nawet obicie zostawi. Przynajmniéj ja tak uczynię.

— Ja, co trzymam gospodę, rzekł maluśki garbusek, teraz tego nie uczynię — dopiéro mi będzie żniwo.

— Wypiją ci i wyjedzą co będziesz miał i figę pokażą potém, rzekł P. Bazyli, będziesz się miał z pyszna.

— A! nie taki djabeł czarny jak go malują, odpowiedział piérwszy; czemuż się ani Xięża Jezuici, ani Kapituła nie wynosi, ani nikt. Gdybyć było niebezpieczno, poszliby wszyscy precz.

— Macie słuszność, rzekł trzeci z boku, jak oni się rugować zaczną, to i my za niémi dopiéro. Miejmy się w gotowości, ale nie ruszajmy; bo jeśli, jak to być bardzo może, do wojny nie przyjdzie, to ten napływ ludu i gości da nam przynajmniéj w sklepach utargować, a i to dobre będzie. Nagrodzi za gospody.

— Wiecie, rzekł inny znowu, że ten, Boże odpuść, pogański Wojewoda, jest pono przyczyną także, że my od lat tylu i Biskupa nie mamy. On to się tak JM. Xiędzu Maciejowskiemu stawi i bechta na niego wszystkich, że go do Biskupstwa nie dopuszczają, dla tego, że jest Królewskiéj strony, i że po Radziwille na Biskupstwo siada.

— Może to i prawda, rzekł P. Bazyli; to pewne, że JMXiędza Łuckiego nie dopuszczają do Biskupstwa, bo nie Litwin, a jest jakieś tam prawo, co mówi, że nikt nie siądzie na stolicy Biskupstwa Wileńskiego, chyba Litwin. Otoż czemu go nie dopuszczają.

— Ale nie, rzekł inny; mnie mówił braciszek krawiec, Coadjutor S. Jezu, że dla tego,

iż przywiléj na installację dany JMX. Łuckiemu pod pieczęcią i z Kancellarji Koronnéj.

— A choćby też, to pewna, że to nie wadzi, kiedy nieboszczyk Król Stefan pieczętował przywileje kapturkiem od szabli, i były dobre, i walor miały, jak kazał.

— To też to że i Król niemy i głuchy tylko pacierze klepie, a wszyscy bróżdzą jak chcą. Ale dajmy pokój tym sprawom, a myślmy o sobie, bo czas. Trzebaby nam coś postanowić na przypadek téj wojny.

W téj chwili nadszedł Wójt P. Maciej Borzymiński. Wszyscy mu się pokłonili, i P. Bazyli Janowicz spytał —

— Prawdaż to, że się nam już wojny niechybnéj spodziéwać trzeba między Chodkiewiczami a Wojewodą?

— Bóg to Święty raczy wiedzieć, odpowiedział suchy, chudy i wysoki mężczyzna, którego powitano jako Wójta—ale *probabiliter*, być to może.

— A toż czas, kiedy tak, rzekł P. Dwornik inny mieszczanin, żebyśmy pomyśleli o sobie.

— Zapewne, odpowiedział Wójt — myślcie WMość co poczniecie.

— A WMość co zrobisz? spytał niejaki Bildziukiewicz.

— Ja, odpowiedział Wójt, będę siedział, z mego urzędu nie mogę się ruszyć!

— I ja, rzekł jeden z Ławników, toż uczynię, ale kram zamknę, i towary do folwarku miejskiego wywiozę.

— Toćby to i nam trzeba, rzekł Dubowicz inny mieszczanin, a nie lepiéj żeby to, żeby z Magistratu Wileńskiego wyprawić deputację do JMP. Kasztellana i do Pana Wojewody, z prośbą aby nie chcieli na szwank wystawiać miasta Królewskiéj JMości?

— Ej dajcie pokój temu, zawołał P. Durnik, żeby nas ze śmiészkami wyprawiono. Właśnie oni co na nas zważać będą, kiedy się tam wmięszawszy nie jeden Senator wziął nosa.

— To prawda, rzekł Wójt, ale i my coś znaczym, będąc *brachium regium* w tém mieście. I nasze przełożenia nie mogą być źle przyjęte, bo nam więcéj niż komu o całość i *securitas* miasta chodzić musi. Dobra zatém

rada P. Dubowicza *ratione* deputacji i ja ją pochwalam.

— I ja, rzekł Bazyli Bildziukiewicz, a oto się tylko naradzimy i wyprawmy posły z instrukcją.

— Na co te ceregiele, zagadnął Dubowicz, prosto niech Magistrat cały pójdzie, to więcéj zrobi aprehensji.

— Zapewne, rzekł Wójt, tylko za nim to poczniemy, trzebaby się kogoś poradzić świadomego dobrze rzeczy i obrotów wszystkich—

— Jakby to kogo naprzykład? spytał Dubowicz.

— A jusciż mnie się zdaje, rzekł Wójt, że nikogo jak JMX. Rektora Akademickiego Collegium.

— Macie WMość racją, potwierdził P. Durnik, idźcie WMość do niego, a popytajcie go, co on tam też powié na to.

— Choćby i *stante pede*, toby nie zaszkodziło — dodał Dubowicz, boć to dziś spraw niéma tak dalece i ani się ich spodziéwać, Możesz się WMość udać do Collegium, będą

też tu PP. Ławnicy i Burmistrze i Sławetny P. Pisarz.

— Dobrze, dobrze — I tak miałem intencję iść do Collegium po Sądach, rzekł Wójt, a no kiedy WMość chcecie, pójdę i zaraz.

To mówiąc i skinąwszy głową, udał się P. Wójt zamyślony, wprost ulicą do Collegium Ś. Jana.

Collegium to, było już naówczas wielkim gmachem, zrosłym z wielu domostw już kupionych przez Xiędza Biskupa Walerjana Protasowicza i fundowanych początkowo jeszcze, już z dawnéj Plebanji Ś. Jańskiéj przyłączonych (w któréj sławny ów Rojzius Mauraeus, ostatni Archiprezbiter pisał swoje *Decyzje*); już z przykupionych lub zapisanych domów i kamienic. Na przedzie zastanawiał Kościół Ś. Jana odnowiony przed kilkudziesiąt dopiero laty, ozdobiony powierzchownie z wysoką wieżą, z gankami. U wrót Collegium cisnęła się młodzież Akademicka, na głos dzwonka u bramy wiszącego, w różnych strojach, z kałamarzami u pasa, xięgami pod pachą, w opiętéj oplamionéj i odartéj po większéj

części odzieży. Kilku laików i Xięży S. J. w czarnych sukniach z ogonami snuło się przez dziedziniec tam i ówdzie z kluczami lub xięgami pod pachą. Witał ich P. Borzymiński po znajomości i przeszedłszy piérwszy dziedziniec, puścił się w korytarze, po których większa jeszcze ilość zakonników i młodzieży biegała — do celi Rektorskiéj.

W drzwiach Refektarza spotkała go ciżba, któréj dzwonek sniadanie zapowiedział, a z otwartych drzwi słychać już było głos lektora, poczynającego czytanie Reguł Zakonu, jak zwykle przy jedzeniu — słychać było biczowanie głośne kilku przestępnych braci, którzy z reguł tychże, publiczną pokutę w Refektarzu odprawiali.

Minąwszy ścisk ten, szedł Wójt do celi X. Rektora, która była najprzedniejsza po Prowincjalskiéj, bo w niéj Xiądz Rektor przyjmował zwykle dostojnych gości unikających solennego przyjęcia z umywaniem nóg w Refektarzu. Nad drzwiami celi był obraz Śgo Xawerego Patrona czy osobistego nie wiém X. Rektora i celi. Zapukał Wójt i wszedł

zaraz, bo laik Jezuita mu otworzył. X. Rektor stał w progu piérwszéj izby i kończył swą mowę do braciszka temi słowy.

—Niechaj go zasadzą na trzy dni, na chléb i na wodę wedle ustawy, a o reszcie poźniéj pomyślę.

Braciszek oddalił się kłaniając ze złożonemi na piersiach rękoma, a Wójt powitał Rektora. Cela w któréj byli, piérwsza, szczupła, niczém nie ozdobiona, prócz portretu Xiędza Warszewickiego. Kropielnica wisiała u drzwi, krzyż drewniany, ławki proste, szafki w murach. Porządniéj już było w drugiéj sklepionéj jak i piérwsza, komnacie do któréj X. Rektor wprowadził Wójta. Była ona obszérniejsza od piérwszéj, o dwóch oknach. Nieobite mury niczém, zasłaniały obrazy ŚŚ. Ignacego i Zakonników S. Jesu dziewięciu, piérwszych jego towarzyszy i także niektórych poprzedników X. Rektora w Wilnie na Rektorstwie Collegium.

Była tu czarna szafa z xięgami, łóżko proste i twarde, dyscyplina nad nim i krzyż, palma i gromnica w głowach. Zresztą nic do

ozdoby służącego, nic co by oko zatrzymywało.

— Ważna tu mnie sprawa do Was sprowadza, Miłościwy Xięże Rektorze, rzekł Wójt po przywitaniu — Miasto jest w niepokoju gwałtownym, radbym się z Wmością poradzić co czynić.

— Cóż to jest za niespokój? spytał Garsias Alabianus, wznosząc łysą głowę i otwierając na Wójta czarne żywe oczy.

— A to z téj nieszczęśliwéj wojny, do którój się sposobią PP. Chodkiewicze z Radziwiłłami, rzekł Wójt — Całe miasto jest w niepokoju i niepewności nie wiedząc co czynić i jak. Czyli już uciekać i wynosić się, czy siedzieć spokojnie zdawszy się na łaskę Bożą.

— Cóż ja w tém poradzić mogę? rzekł Rektor udając głęboką obojętność. Postępujcie sobie jak wam rozum dyktuje.

— Ale tu nie dość naszego rozumu — powiedział Wójt, radzibyśmy wiedzieć na czém się oprzéć. Jestli się czego lękać czy nie?

— Ja tego od was nie wiem lepiéj — odpowiedział Rektor — To pewna, że się zanosi

na wojnę, ale Król JMość wysłał już z Inhibicją PP. Senatorów do Wojewody i Kasztellana.

— Z inhibicją! zawołał Wójt, ale czy oni jéj usłuchają.

— Tego ja nie wiém, ostróżnie rzekł Rektor, nie chcący się wydać, jak doskonale o wszystkiém co się działo w mieście, był uwiadomiony.

— A nie byłoby dobrze, spytał Wójt znowu, gdyby Magistrat szedł z przedstawieniem od miasta do P. Kasztellana i do P. Wojewody, aby nie chcieli mięszać pokoju i nadwerężać *securitatem Metropolis.*

— Nie byłoby nic od rzeczy, rzekł Rektor, ale ja WMościom ani radzę, ani odradzam.

To umiarkowanie X. Rektora w jego rozmowie z P. Wójtem, przypisać było potrzeba znanéj P. Borzymińskiego gadatliwości, dla któréj słowa bał się wyrzéc Rektor, aby przez jego usta całe się miasto o udziale jaki w tém miał, nie dowiedziało. Chodziło mu zaś bardzo o to aby choć pozornie *neutralitatem* w téj sprawie utrzymać; gdy i tak Pro-

testanci, wszystko zawsze kładli na Jezuitów; co się przez nich lub i bez nich stało.

— Ale nie będzież to źle? spytał Wójt, gdy to uczynim. Zdaję się w tém na światło i rozsądek WMości, Xięże Rektorze, poradźcie.

— Źle byćby nie powinno, rzekł Rektor, nie zaręczam znowu czy i dobrego co z tego wyniknie. Zresztą czyńcie coście uradzili między sobą, a ja mszę na waszą intencją odśpiewać każę. Nie zapominajcie tylko o dostarczeniu potrzebnych requisitów do kaplicy Bożego Ciała.

Po tych słowach powstał Rektor widocznie niespokojny, a P. Wójt rad nie rad musiał go pożegnać. Mijając wrota Collegium, ujrzał na nich karty, na które rzucił okiem. Były to zapowiedzenia nabożeństwa solennego, w dzień jakiegoś patrona, Dysputy z powodu doktoryzacji i exkluzji trzech Akademików za popełnione excessa.

II.

Deputacja Magistratu.

II.

Deputacja Magistratu.

Nazajutrz jeszcze nie wybiła dwunasta na pół zégarzu Ratuszowém, a już ze drzwi jego, wychodziła Deputacja Magistratu, na któréj czele stąpał poważnie JMP.

Wójt Maciéj Borzymiński, za nim dążyli dwaj Ławnicy, dwóch Rajców, dwóch Burmistrzów i Pisarz miejski. Wszyscy ubrani byli od parady jakby iść mieli za processją, lub przynajmniéj na przegląd Musztry Cechowéj, w nowych sukniach jasnych kolorów, świéżém obuwiu z kurdybanu; a na mocy przywileju ś. p. Najjaśniejszego Zygmunta Augusta (tak go zwano wówczas) przywileju który Magistrat uszlachcił, wszyscy urzędnicy oznakę świéżego szlachectwa, szablę przypasali brzęczącą po kamieniach.

Nizko się im kłaniali po drodze, lud miejski, PP. mieszczanie nawet i kupcy, widząc ich tak strojnie i poważnie idących; ustępowano im z drogi, bo wszyscy czuli, że szli niedarmo, nie na łóżną przechadzkę tylko, ale brzemienni wielką jakąś sprawą miasta całego tyczącą. Tak w milczeniu honorowani przeszli oni główną ulicę i ażeby na nich zbyt oczów nie zwracano, zapuściwszy się w zaułek na Rybnym końcu, postanowili *unanimitate* przedmieściami udać się naprzód do pałacu Kasztellana Wileńskiego.

Tu, gdy stanęli, oznajmiono o nich wprzód Kasztellanowi, a po chwilce wpuszczono do sali, przeciw którym i sam Kasztellan wyszedł. Po nizkich ukłonach i powitaniu, odchrząknąwszy P. Wójt, począł oracją w te słowa.

— Jaśnie Wielmożny Kasztellanie Wileński! Panie nasz a Dobroczyńco! Niemały od niejakiego czasu przestrach i aprehensia opanowały mieszkańców miasta JKM. Wileńskiego, z powodu niejakich wieści i głosów, które poszły, jakoby spokojność tego miasta i *securitas* jego, zagrożoną być miała. Źli to ludzie zapewne, takowemi baśniami umysły spokojnych mieszkańców tego miasta stołecznego poruszają, a jednak mają, ku temu niejakie pozory. Albowiem J. W. Panie, widziémy niemal codzień zbierający się lud, fortyfikacje czyniące się wpośrodku i sercu miasta i jakieś przygotowania, które zdają się w istocie naruszenie blizkie pokoju zwiastować. Przeto obmyśliliśmy my Wójt i Rada miasta J. K. M. Wileńskiego, udać się tu, *ad Illustrissimum* i pokornie go upraszać, aby jeśli istotnie do

jakowejś (czego Boże uchowaj) wojny przychodzić miało, Wileńskie przynajmniéj miasto świadkiem jéj nie było. Mamy przywileje, które wojsk stawić w mieście samém zakazują, a codzień gęściejszym pocztom zapisują gospody w samém mieście, *in visceris* téj to Metropoli, co więcéj w Juryzdyce Ratuszowéj, czego dotąd nie bywało nigdy. A jeśli (czego Boże uchowaj) do wojny i boju przyjśćby miało, ostatnia to ruina dla miasta Wileńskiego, handlów i pomyślności. Albowiem kupcy cudzoziemcy i goście, już się na słuch o tém wynosić poczynają, sklepy zamykają, dom gościnny pustoszeje, płace od niego giną, wszyscy w przestrachu jakimś i oczekiwaniu. Przeto najpokorniéj *Illustrissimum* błagamy tu wszyscy w imieniu miasta całego Magistratu *Communitatis* kupieckiéj i pospolitego człowieka miasta Wileńskiego, aby, jeśli to być może, żadne tu wojny rozpoczynane nie były, któreby miasto do ruiny handlu i spokojności przywiodły, mieszkańców rozproszyły i zubożyły.

Jeszcze miał mówić daléj P. Borzymiński,

ale mu przerwał Kasztellan trochę zniecierpliwiony.

— Mój Panie Wojcie, rzekł, źleście się bardzo do mnie udali ztém poselstwem. Ja tu żadnéj wojny nie pocznę, ani jéj pragnę, ani ją gotuję. Idźcie do Pana Wojewody Wileńskiego i proście go, ażeby się upamiętał, a na miasto, ieśli nie na co innego, już miał wzgląd. On to chyba, nie ja o wojnie myślę. Ja się tylko bronić będę, rzekł, jeśli mnie kto zaczepi, a bronić się każdy i wszędzie ma prawo, jak ci się zdaje, Panie Wójcie!

— Jest to prawo kardynalne, odpowiedział Wójt pokornie, lecz —

— Lecz co? spytał Kasztellan.

— Lecz wojsko się zbiéra, rzekł Wójt, i w okolicach i w mieście coraz go więcéj, coraz gęściéj, a mówią, że jeszcze znaczna ilość ma przybyć!

— Idźcie do Wojewody, przerwał Kasztellan, idźcie — Nie moja to rzecz, pewnie ja piérwszy nie wystrzelę. Jeśli się zaś pytać będzie czyliście u mnie byli, możecie powiedzieć, com wam rzekł, że ja wojny nie roz-

poczynam żadnéj, zaczém żegnam Waszmościów.

Deputacja niżko się pokłoniwszy, tym samym krokiem poszła w milczeniu do Pana Wojewody, znać tylko było z miny PP. Magistratowych, że to drugie poselstwo, cięży-ło im bardziéj na sercu, niż piérwsze: szli bowiem do Wojewody, którego się lękali jako heretyka, odmalowanego im przez współbraci, za monstrum popędliwości; i chociaż byli pewni, że poważnéj Deputacji osób Magistratowych znieważyć nie zechce, coś ich jednak niespokojnemi czyniło. P. Wójt obracał niespokojne oczy na Pisarza, Pisarz na Ławników, Ławnicy na Burmistrzów. Im byli bliżsi pałacu, tém szli powolniéj — Nareście Wójt rzekł.

— Wnieście wy głos P. Burmistrzu.

— Kto? ja? rzekł cofając się zagadniony, ja? A tożby był niemały despekt dla WMości, który jesteś głową miasta i téj Deputacji! Ja tego nigdy nie uczynię.

— Ani ja.

— Ani ja— ozwali się inni zcicha— Do Pana Wójta oracja należy.

A Wójt, któremu język w gębie przysychał do podniebienia, sam już nie wiedział jak sobie poradzić. Gdy u wrót stanęli, weszli w korytarze, już ich oznajmywano, nie czas się było cofać.

Odzwierny zawołał.

— Deputacja Magistratu!

Wojewoda siedział w swojéj komnacie z P. Abramowiczem, a posłyszawszy oznajmienie, rzekł:

— Wpuścić ich. Pewnie ze skargą wieczną na Podwojewodziego, albo o targowe jakieś tam, przekupniów i partaczy durzyć mi głowę przychodzą.

Ledwie tych słów dokończył, wsunął się z głębszym niż do Kasztellana ukłonem schylony P. Wójt, a za nim na palcach reszta Panów deputowanych. Wojewoda nie powstał, ujrzawszy ich zmierzył okiem i odwrócił się tylko czekając co powiedzą.

Takie przyjęcie nie było wcale zachęcające; to też Wójt całkiem ze strachu przyto-

mność postradał, i zwijając czapkę kłaniał się, nie mogąc słowa znaleść w gębie i w głowie, od którego by począł. Nareście, gdy już to milczenie zbyt długo się przeciągnęło począł prawić temiż słowy, jakiemi do Kasztellana przemawiał, wprzód cicho i niewyraźnie a drżąco, kondolencje swoje.

Wojewòda się w piérwszéj połowie mowy porwał.

— Cóż to, zawołał, WWMość myślicie dawać mi nauki i przestrogi? Mnie? A co to do was należy, co ja czynię, albo Senatorowie i Rycerstwo między sobą? Siedzcie w kramach swoich, ważcie na Ratuszu, wybiérajcie powrótne, podymne i sierebrszczyznę, ale wara z nosem, tam gdzie was nie proszą! Słyszycie Waszmość!

Wójt zamilkł i pobladł jak ściana.

— Jednakże J. Oświecone Xiąże a Panie rzekł jąkając się — *securitas* miasta J. K. Mości, powierzonego.

— Pilnujcież jéj od hultajów i złodziei Wójcie, a nie turbujcie się o nasze sprawy, krzyknął Wojewoda. Słyszał kto takie zuchwal-

stwo. Warto, żebym was wszystkich do Turmy Zamkowéj posłał na tydzień za to, dodał coraz bardziéj zajmując się gniewem.

— Nie było w intencji Magistratu J. K. M miasta Wileńskiego, obrazić JO. Xięcia Pana, albowiem *zelus* o dobro powierzonych nam.—

— Ale mówię wam, zahuczał Wojewoda, skierujcie indziéj *zelus*, a będziecie mieli co czynić i na co go użyć — Nie mięszajcie się w to, co do was nie należy, wybierajcie podatki, sądźcie swoich mieszczan i gości; pilnujcie porządku i siedźcie spokojni.

Wójt miał się do drzwi przelękniony wspomnieniem turmy i coraz popędliwszą mową Wojewody. Gdy Xiąże ostatnich słów domawiał, drzwi się otwarły i Deputacja milczkiem wysuwała się nazad, a jeszcze Wojewoda burczał w komnacie swéj — Z zwieszonemi w dół nosami i posępną miną, sławetny Wójt i PP. Rajcy i Ławnicy szli ku Ratuszowi.

Zdaleka postrzegli, że na nich czekała ciekawa u wrót Ratusza ciżba mieszczan i kupców.

— Cóż im powiémy? rzekł Wójt.

— Co? odpowiedział Pisarz rezolutnie niepotrzeba im mówić o przyjęciu u Wojewody, boby to zwierzchność poniżyło, w ich oczach, lepiéj oznajmić, że P. Kasztellan i Wojewoda obowiązali się o tyle o ile — mieć wzgląd na miasto.

— A jak się zkąd inąd o tém dowiedzą?

— Łatwe przekonanie, że z nami prawda, a to baśnie wszystko, zawołał Pisarz. Inaczéj upokorzenibyśmy w oczach podwładnych zostali, czego Boże uchowaj, bo gdy i tak mało na nas mają względu, toćby do reszty sponiewiérali.

— A co dobrego przynosicie? spytali oczekujący wracających.

— Słowa pokoju i dobréj otuchy, rzekł Wójt — wszystko dobrze.

— Przyjęto nas ze czcią należną — dodał Pisarz zuchowato.

— Miasto może się spodziéwać wszelkiéj powolności od Wojewody i Kasztellana; kończył Wójt.

— A nie będzie wojny?

— Choćby i była, (bo to tego przewidzieć nie można)-— obiecano nam jak najmniéj szkodzić!

— Zapewne! rzekł kiwając głową jeden z mieszczan, przeproszą nas zrabowawszy i płakać będę gdy spalą!

III.

Tomiło.

III.

T o m i ł o.

Zmierzchało już, ale jeszcze na Ratuszu, nie wydzwoniono gaszenia ogni, pełne jeszcze były gospody, garkuchnie i winiarnie i mniej śmieli mieszczanie z latarnia-

mi, w kije nasiekiwane zbrojni przesuwali się po ulicach. W kościołach dzwoniono na Anioł Pański, któren pobożni klękając śród ulicy nawet odmawiali. Głos dzwonów mięszał się z turkotem kolass i wozów, z głosami przechodzących. W oknie Chodkiewiczowskiego pałacu na Zamkowéj, siedziała Xiężna Zofja Słucka, wpatrując się przez drobne szyby na ulicę, oczyma, które jednak nic nie widziały. Smutna, zamyślona, chciała się widokiem ulicznego ruchu rozerwać, ale padający zmrok i ten jéj widok coraz bardziéj odbiérał.

Siedziała jednak i patrzała w ulicę, jakby wyglądała czego, jakby na kogo czekała— A w ulicy dość było pusto, bo prócz kilku osób, które wchodziły i wychodziły z szynku Malchera pod Bachusem, nikt się nie pokazywał. Wrota Chodkiewiczowskiéj kamienicy jeszeze były otwarte na ościéż, stał w nich tylko wrótny staruszek, mówiący jak wszyscy Anioł Pański za dusze zmarłe, które głos dzwonu pamięci żyjącéj braci, przywodził. Wtém od Zamku coś się zaczęło chlapać po

błocie i ukazała się stara żebraczka w łachmanach odartych, która coraz tu powolniéj idąc, wreście przeciw okien Xiężnéj, spójrzawszy w nie, zastanowiła się podniosła głowę i popatrzywszy coś, zamruczała. Postrzegła ona bladą twarz Xiężnéj, między szybami bielejącą.

— Dajcie szeląg ubogiéj, zawołała — a Bóg Was pocieszy. I to mówiąc wyciągnęła rękę ku górze, a w dół na wrótnego patrzała, który zajęty modlitwą, na nią nie uważał — I powtórzyła jeszcze.

— Dajcie Pani, szeląg ubogiéj! a Bóg Was pocieszy!

Otworzyła się szyba wolnie i z niéj w papiér uwinięty pieniądz wyleciał na ulicę, który uboga schwyciła skwapliwie, podniosła oczy w górę i zaczęła dziękować.

— Bóg Wam zapłać za jałmużnę, Jasna Pani! Bóg zapłać!

Xiężna okno zamykała już za sobą, a stara obejrzawszy się raz jeszcze, nazad Zamkową ulicą poszła, prędzéj niżby po jéj zgarbieniu spodziéwać było można. Jak tylko stra-

ciła z oczów kamienicę, jęła rozwijać piéniądz i rzekła do siebie.

— Cały talar! ale więcéj wart ten kawałek papiéru, niż piéniądz, bodajby był portugał. To mówiąc uwinęła papiér starannie i pociągnęła się do Radziwiłłowskiego pałacu, a doszedłszy furtki mniejszéj, która na ulicę wychodziła, weszła nią i prosto udała się ku galerji, do któréj wązkie wiodły schodki.

Śmiało i zręcznie wdrapała się na wschody zapukała do drzwi, otworzyła je i weszła. Zobaczył ją w piérwszéj izbie siedzący dworzanin i rzekł.

— Idź się rozbiérz w komorze, bo tu jest ktoś obcy — Coś zrobił?

— Wszystko dobrze! odpowiedziała mniemana żebraczka, kryjąc się do alkierza.

Tu zrzuciła łachmany, umyła się i wzięła męzkie suknie. Był to bowiem Tomiło Tomiłowicz, powiernik Xięcia, który tym sposobem list od Xiężnéj mu nosił. Przebrawszy się znowu wyszedł do izby i zapytał.

— Kto tu jest?

— Sprowadził tu P. Adam, jakiegoś Chod-

kiewiczowskiego dworzanina, którego tu poją i muchy mu z nosa wyciągają.

Dosłyszawszy tego, wszedł Tomiło Tomiłowicz do izby, gdzie się kilku jego towarzyszy dworzan znajdowali nad dzbankiem, wpośród których Pan Brożek, znajomy już nam, trochę podpiły, głośno gadał.

Na widok Tomiły, którego był już widział kilka razy, choć go po nazwisku nie znał, chwycił się z ławy Brożek i uścisnął go serdecznie.

— A i ty tu!

— I ja tu — odpowiedział Tomiłowicz.

— Cóż ty tu robisz? spytał Brożek.

— Przyszedłem w gościnę, rzekł i mrugnął na otaczających.

— Siadajcież a przepijmy do gościa — rzekł inny naléwając do kubka. I przepili w koło jeden do drugiego, kubek z rąk biorąc, a kłaniając się sobie. Tomiłowicz szeptał w ucho swoim towarzyszom.

— Czy już co gadał?

— Jeszcze nic! odpowiedział któryś, ale go już czas wyciągnąć, bo sobie podpił u Mal-

chera, a od Malchera tuśmy go przywiedli, ani się domyśla, że jest z Radziwiłłowskiemi.

— Do WMości P. Brożek, rzekł Tomiło. Co tu u Was słychać?

— At! co słychać! zawsze jedno, fortecę robią, armaty kupują i sprowadzają, wojsko spisują, szable ostrzą, pancerze podszywają skórą— Zjedzą tyle go djabła Radziwiłłowscy, jeśli nam dadzą rady.

— Oj pewnie! rzekł drugi — I dużoż tam już macie ludu spisanego.

— Kto ich tam policzy, odpowiedział Brożek machając ręką, z całego świata ich zbiéra Pan Starosta. Teraz P. Marszałek pojechał za ostatkiem do Pruss.

— Któż to taki Wasz Marszałek? spytał Tomiło.

— Albo go nie znacie! wéj! P. Mikołaj Chamiec. Nie lada rodu człek, mówi, że jeszcze wszystka litewska szlachta bydło pasła i w skórzanych łapciach chodziła, kiedy jego przodkowie Xiążętami już byli.

— No — ale teraz za to, odpowiedział Tomiło, on już nie Xiąże, a szlachta bydła nie

pasie. A zatém kwita byka za indyka. A którą drogą pojechał?

— A Bóg go tam wié!

— Wiele tam armat macie, co się o nic tak staracie?

— Ja myślę, że ich tu będzie więcéj więcéj, niż na ostatniéj wyprawie, bo żeby tylko miejsca policzyć, które dla nich przysposobiono, w kamienicy, na dachach i murkach.

— Już porobiono?

— O! tylko postawić armaty — zawołał Brożek. P. Barberjusz pracuje niezmiernie i powiada, że lepiéj im się będzie bronić, niż Radziwiłłowskim napastować, a choćby heretycy nie wiém wiele ludu mieli, to go w ulicy nie pomieszczą razem. To co przyjdzie na strzał, chlast w oczy kulkami i śmigownice wyśmigają.

Tomiło Tomiłowicz kiwnął głową, popatrzał na swoich, i znów jął wypytywać o ilości wojska.

— Dużoż tam u was ludzi?

— Mówiłem wam, że nie wiém dobrze, ale słyszę jak go zawsze na tysiące liczą Pan Barberjusz z Panem Starostą i Panem Alexandrem.

— Zkądże go bierzecie?

— At, po światu jak grzyby — rzekł Brożek, ten tam ten sam. Czy to mało takich, co się za dobry jurgielt zaciągną! Nie żałują też pracy, posyłają za niémi wszędy. U nas ruch teraz wielki, Starosta jeździ a jeździ.

— I teraz pono niéma go w Wilnie?

— Niéma, powróci chyba na samą uroczystość, a to z działami i wojskiem razem, za miesiąc dopiéro.

— Któż tam będzie dowodził?

— A któż? sam Pan Starosta — zawołał Brożek, a pod nim P. Mikołaj Chamiec. Wojak też nie lada jak to mówią. Inni będą mieli różnych swoich rotmistrzów.

I znowu pili do siebie i śmieli się i gwarzyli lecz Tomiło znikł wkrótce. Pobiegł do Xięcia młodego.

Wszedł nieopowiedziany i stanął przy drzwiach. W komnacie paliły się kilka świéc żółtych. Xiąże Janusz probował broni, szable wyginał, opatrywał, i ze stosu wielkiego głównie, snać do oprawy wybiérał.

— Tomiło? rzekł podnosząc głowy — a co?

— Jest pismo! odpowiedział dworzanin. Xiąże rzucił szablę i chwycił podany papiér, podbiégł ku świécy, czytał je, marszczył czoło i kiwał głową. Potém schował list i podniósł oczy.

— Co więcéj?

— Tylko cośmy tu sprowadzili jednego z Chodkiewiczowskiéj psiarni — papistę rzekł Tomiło — pogadał nam wiele rzeczy.

— Cóż takiego? spytał X. Janusz.

— Że P. Starosta zebrał dział wiele, że wojsko aż z za granicy spisuje.

— To nie sekret, rzekł Janusz.

— Że sam Pan Starosta dowodzić będzie.

— Nic i to nie wadzi — odpowiedział młody z pogardą.

— Że wszystko w kamienicy gotowe, strzelnice wykute w murach.

— A zkąd działa pobrali?

— Tego nie wié — Ale powiada, że Barberjusz jakiś tam ich Francuz zapewnia, iż lepiéj mu stokroć będzie bronić się w kamienicy, niż nam napadać i szturmować, bo wojska nasze wszystkie się w ulicę nie pomieszczą, a po jednemu z kolei podchodząc hufce, z dział wybite być mogą,

— Alboż to na to niéma rady? odparł Xiąże, nim oni działa po raz drugi nabiją, my wrota wyłamiem.

To mówiąc ruszył z pogardą ramionami i dodał.

— Wiész Tomiło, ile Chodkiewicze, po kupcach ołowu i prochu pożyczyli albo pieniędzy.

— Ołowu i prochów a saletry nie wiém wiele, a pieniędzy ilem się dowiedział kilkaset kop. Te wszystkie poszły na wojsko —

— Przynajmniéj się wycieńczą, zawołał Janusz — choć im wszyscy pomagają —! Król Je-

go Mość milczkiem i pocichu—Jezuici—Polacy. Ale potopią oni wszystkie błony okien swoich pałaców i kamienic na kule, wszystkie blachy i ryny kościelne, nim nas przemogą. Łatwiéj nam o tysiąc niż im o dziesięć.

—Na, rzekł do Tomiły, weź tę głównię i każ ją płatnérzowi osadzić w tę rękojeść mocno i uczciwie. Niech mi też naprawi lekką zbroję, choć jéj może włożyć nie wypadnie, niech będzie cała, bo i rzemiona się poobrywały i łuska na piersiach odstawuje się.

Tomiło Tomiłowicz zabrał co mu kazano, a Janusz w milczeniu stanął zamyślony.

—Widziałeś Xiężnę? spytał.

—Widziałem. Jak zawsze tylko z okna.

—Nikt cię nie postrzegł?

—Nikt sądzę, choć wrótny stał u bramy.

—Jutro—rzekł po chwili Xiąże, ja pójdę sam na twojém miejscu.

Wy! Xiąże, zakrzyknął Tomiło.

—Cóż to za dziw! Ja sam—Mógł Xiąże Siemion Słucki w żebraczém odzieniu, wejść do Lwowa do swojéj Halszki, sprobuję i ja tego fortelu.

— A jeśli W. X. Mość złapią?

— Jużciż mnie nie powieszą—rzekł Xiąże.

— Ale zdespektować mogą.

— Będę miał tulich pod suknią — Wszak niema Starosty, Kasztellan u siebie, w kamienicy same baby?

— Ale ciżba dworzan, ale oczu tyle, wszyscy tak dobrze W. X. Mość znają rzekł Tomiło. Co na to powié rodzic W. X. Mości?

— Wojewoda wiedziéć nie będzie, prędko podchwycił Janusz, a ty nie pleć przed nikim Tomiło, wara! bo ci niechybnie języka obe-rznę. Myślisz że się potrafię dostać do środka?

— Jeśli słudzy na kułakach nie wypchną.

— Jużciż puszczą żebraczkę —

— Tego nie wiém — rzekł Tomiło, sam nigdym się do środka nie dostał.

— Bo tchórz jesteś.

— Ja, M. Xiąże? Ja? Kiedyż W. X. M. złapałeś mnie tchórzem?

— Ot teraz gdy mi odradzasz jedynego spo-sposobu widzenia się z Xiężną — którego koniecznie potrzebuję.

— Bo o W. X. Mość się lękam, nie o siebie.

— O mnie, czy o siebie, dość że się boisz, rzekł Xiąże—Idź do płatnérza—Na jutro suknie żebracze!

IV.

Xiąże Janusz w Kamienicy Chodkiewiczowskiéj.

IV.

Xiąże Janusz w Kamienicy Chodkiewiczowskiéj.

NAZAJUTRZ wieczorem samym, drzwi u X. Janusza, były na rygiel ze środka zamknięte, bo on brał na się żebracze odzienie, pod którém miał się wcisnąć do

Xiężnéj. Odważny młodzian ze wstrętem dotykając łachmanów, któremi go Tomiło Tomiłowicz odziéwał, śmiał się niekiedy sam do siebie.

— Otożby dopiéro, mruczał, śmieli się ze mnie nieprzyjaciele, gdyby mnie w tym stroju widzieli, gdyby mnie pod temi chusty złapali. Ale licha zjedzą, nim się tego domyślą!

To mówiąc wdziéwał brudne płachty, i czarne swoje włosy związywał chustą a niższą część twarzy czarno obrastającą, przykrył także széroko pod brodę zaplątaną szmatą. Potém Tomiło podał mu kosztur i nauczył go jak miał iść, jak się garbić, jakim głosem mówić. Powtórzył przestrogi, jak się wkraść do kamienicy.

— O téj porze, rzekł, Xiężna zapewne jest sama w swojéj komnacie, bo P. Ochmistrzyni bawi zwykle na pacierzach z kobiétami, które Xiężna jako innéj wiary, osobno odprawia i wcześniéj. Znasz W. X. Mość drzwi pokoju Xiężnéj Pani, miéj cierpliwość pomodlić się przed niémi a nie wchodź, aż wprzód się przekonasz, że w kurytarzach niéma niko-

go. Pokój P. Ochmistrzyni jest tuż obok, przeto i głośno mówić nie radzę. Nie bardzo wrótny puszcza żebraków, bo i ja kilka razy probowałem wkraść się do kamienicy, a zawsze mnie bez litości odepchnął. Uważaj przeto W. X. Mość, abyś się wcisnął furtką, gdy on się zapatrzy i mniéj uważać będzie. Nie baw też W. X. Mość długo i nazad uproś Xiężnéj, aby Cię któréj słudze nazad do wrót odwieść przykazała; boby cię mogli trząść i szukać czy nic ukradła czego żebraczka. A takby się wszystko wydało.

Gdy to mówił Tomiło, Xiąże resztę swego ubioru wdziewał, torbę narzucił, przypasał garnuszek i szedł do drzwi.

Czekaj W. X. Mość, rzekł jeszcze sługa, niech wprzód zobaczę, czy niéma kogo, coby zobaczywszy W. X. Mość w tym stroju mógł co pogadać nie do rzeczy.

I Tomiło wybiegł, obejrzał, powrócił.

— Idźże W. X. Mość z Bogiem, i daj Boże szczęśliwie!

Xiąże Janusz wyśliznął się z komnaty i spiesznо zbiegał ze wschodów.

— Na Boga Żywego! rzekł Tomiło doganiając go, nie idźcie W. X. Mość, tak śpiesznie i tak prosto, bo wszyscy poznają, żeś nie jest kim się pokazujesz. Powoli potrzeba, zgarbiono, a oczy i głowę w dół opuścić.

X. Janusz poprawił się trochę i wyszedł w ulicę. Ale zaledwie tu stanął, znowu się zapomniał, podniósł głowę i gdy go ktoś przechodzący potrącił, omało się nie wydał; już zabrawszy się go karcić, przecież przejąwszy się duchem swego stroju, pomiarkował się w czas i już pokorniéj, powolniéj, wlókł się ku kamienicy Chodkiewiczowskiéj.

Zmierzchało właśnie, a wrótny znowu Anioł Pański odmawiał, w oknie blada świeciła twarz Xiężnéj. Udana żebraczka podniosła oczy i rzuciła się do bramy. Wrótny właśnie był zatopiony w modlitwie i nie uważał, jak się boczną furtką wślizgnęła — do kamienicy. Tu cicho było. Cały dom się modlił lub po izbach porozchodził, puste były wschody, a Xiąże Janusz obejrzawszy się dokoła, poszedł niemi, ku znajomemu sobie mieszkaniu Xiężnéj. Niespokojność go jednak mimowolnie

brała na każdy szelest wokoło, na każde szelesznięcie, na każdy trzask otwierających się drzwi. Z bijącém sercem stanął u proga i mruczéć począł jak gdyby się modlił.

Stał tak chwilę, a nikt do niego nie wyszedł. Coraz głośniéj się modlił i spójrzał w komnatę. Xiężna jeszcze stała w oknie—Chcąc jéj uwagę na siebie obrócić, Janusz odezwał się.

—Na miłość Boga dajcie szeląg ubogiéj.

Zofja odwróciła się szybko i spójrzała dokoła siebie, podsunęła się ku drzwiom.

—Po cóś tu wszedł? zawołała sądząc, że to był Tomiło Tomiłowicz—Idź! idź sobie, bo cię złapią—poznają—Idź!

Wtém Janusz, oderwał z twarzy swojéj chustkę, która go zasłaniała i pokazał się jéj. Mimo zmroku panującego w komnacie, poznała go a raczéj przeczuła Zofja i zakrywszy twarz rękoma odstąpiła od niego.

—Także to mnie witacie? rzekł Xiąże Janusz pocichu.

—Po cóżeś tu wszedł? odezwała się Zofja. A! idź! idź! mnie śledzą, spiegują, zobaczą Cię, Ty siebie i mnie narażasz—IdźXiąże—idź!

— Ja nie pójdę tak, rzekł Xiąże, i nie po tom przyszedł, abym z niczém odchodził — Chciałem mówić z Tobą Xiężno, bo Twoje pisma codzień bardziéj mnie trwożą. Tak że Cię to już nieprzyjaciele nasi, uprzedzili i obłąkali, że się nas zupełnie wyrzekasz?

— To nie czas, to nie miejsce odpowiedziała Zofja lękliwie się ozierając dokoła, nie czas się tłumaczyć. Ja dałam słowo Kasztellanowi, że się z Tobą widzieć nie będę — Idź Xiąże, zaklinam, idź — idź prędzéj. Idź ztąd!

— Ja nie pójdę — rzekł Xiąże — ja tu zostanę, bodajby mnie Chodkiewicze wyrzucić kazali za wrota. Ja z Tobą muszę pomówić Zofjo. Tak dawnom Cię nie widział, chcę się przekonać, czyś zapomniała ze wszystkiém już mnie i twoich dawnych przyrzeczeń.

— O! ja wszystko pamiętam — wołała stłumionym głosem Xiężna, lecz na miłość Boga, na Trójcę Przenajświętszą, na wszystko Cię zaklinam, idź ztąd idź, poznają Cię — Xiąże pomyśl tylko, co o mnie, co o Tobie powiedzą, co ze mną poczną, jeśli tu Ciebie odkryją. Ja będę najnieszczęśliwszą, mnie zamkną

w klasztorze, mnie obstawią strażą, ja będę niewolnicą! Ulituj się nade mną, idź, idź!

Xiąże nie ustępował.

— Jedno tylko słowo, a pójdę, rzekł — Jesteśli zawsze jak byłaś moją, Zofją, czy nie?

— Zawsze Twoją jestem duszą — odpowiedziała Xiężna, ale nigdy twoją nie będę.

— Jakto! Cóż to znaczy?

— Dałam słowo i dotrzymam słowa Kasztelanowi stryjowi, że tę myśl nawet i nadzieję odepchnę. Nie naglij mnie Xiąże, nie obwiniaj mnie, bo nie moja wina. Wyście to sami zrobili — nie Ty Xiąże, ale Twój ojciec.

— Mój ojciec! Was już Xiężno nauczono na nas patrzeć inaczej niż wprzódy, lecz cóż na Boga winien nasz ojciec; że się o swoje na Chodkiewiczach dopominał, i że gdy oddawać nie chcą, przed Sąd ich powołał? Jestli to taką zbrodnią, jak niedotrzymanie i połamanie obietnic, które tak haniebnie połamali oni?

— Nie mów nic na nich Xiąże, odpowiedziała Zofja, jam im winna wdzięczność, ja tego słuchać nie będę — Idź, idź? Niech to

Bóg przemieni. Jeśli kiedy zmienią się okoliczności, jeśli oni się nakłonią, znajdziesz mnie zawsze taką jak byłam, kiedyśmy z sobą dziećmi w Brzostowicy igrali!

To mówiąc Xiężna wezwawszy wspomnień owych lat dziecinnych, mimowolnie się poruszyła i zamyśliła, tak żywo jéj one przed oczyma stanęły.

— Więc to tylko odpowiedź twoja Zofjo!

— Tyle tylko odpowiedzieć mogę — rzekła, bo ja nie jestem swoją, ja sobą nie rządzę— ja nic nie mogę — chyba płakać i cierpieć.

Xiąże Janusz uderzył nogą w podłogę i wyprostował się dumnie pod swojemi żebrackiemi łachmany, a patrząc na bladą piękną twarz Xiężnéj, poruszył się gniewem okropnym, wspomniawszy na swoje położenie dzisiejsze, i na nadzieje jakie miał wprzódy.

— Otoż co oni zrobili! zawołał.

— Nie oni, odpowiedziała Zofja — nie oni zrobili dwoje nieszczęśliwych — Na cóż było ich jątrzyć, na co ich było do ostatka doprowadzać?

—Mogliżeśmy się im płaszczyć, my! my! rzekł Janusz.

—Lecz czyż dla mnie nie mogłeś tego uczynić?

—Dla nikogo, i za nic i nigdy! zawołał dumnie Janusz.

Xiężna cofnęła się.

—Idź, rzekła, już i tak nadto tu jesteś długo; zaraz się skończą paciérze, ludzie się po korytarzach rozpierzchną i gdy Cię tu spotkają— A! idź, idź na Boga!

—Słowo jeszcze—tylko słowo — odezwał się Janusz, tak to mi dziwno, z Tobą Xiężno mówić ukradkiem, widziéć się tylko tak krótko!— O! nie tak bywało dawniéj — Zofjo, ja się o Ciebie dobijać będę orężem i wojną, ty wiész o tém. Jeśli do Ciebie przyjdzie nasz spór jedném słowem rozstrzygnąć, pomnij na naszą młodość, na wszystko dawne. Wszak wyrzeczesz się za mną? wszak gdy Cię spytają, czy mnie żądasz za męża — nie zamilkniesz, nie odepchniesz mnie. Wszak mogę na to rachować — Zofjo! I Xiąże czekał odpo-

wiedzi, Xiężna Zofja milcząc patrzała na niego.

— Niéma temu nad kilka miesięcy pytał mnie o toż samo, temiż prawie słowy Kasztellan, odpowiedziała, powiedziałam mu, że jestem Twoją i nigdy się Ciebie usty nawet nie wyrzeknę, alem mu obiecała, że nigdy Twoją nie będę bez jego zezwolenia. On mnie zna, on nie dopuści ażebym ja rozstrzygała między wami, bo wié, że mijając wszystkie waśnie, za Tobą bym się wyrzekła.

— Za mną! zawołał Janusz — Dzięki Ci za słowo! Dałaś mi nową broń do walki z niemi! Jeśli tak, ja będę stał przy tém, ja dopnę tego, że Ty wszystko rozstrzygniesz, że Ty będziesz moją. Tak, tak, dodał, bądź spokojna — próżno się Chodkiewicze zmagają, będą oni musieli ustąpić, bo nie po ich sile z nami się zadzierać. Gdyby przyszło miasto zburzyć całe, a Ciebie tém dostać — my je zburzym, my je wywrócim, rozniesiem po cegle. Nie bój się więc Zofjo i miej nadzieję — Jeśli Ty za mną, my swego dopniem. Tyś moja!

Ale Xiężna, gdy to Janusz domawiał, już

się była odwróciła, i dawała znak Xięciu, aby odszedł, gdyż usłyszała, skrzypnięcie drzwi i wprzód nim Xiąże potrafił twarz zasłonić ukazała się Ochmistrzyni, w całéj swojéj wspaniałéj strukturze, ukazała się i stała w progu. A ujrzawszy żebraczkę w mroku, zawołała.

— Co to? kto to? Kto tu śmiał wejść? Xiężna poskoczyła ku niéj śmiało.

— Mója Pani Włodska, rzekła, nie łajże i nie hałasuj — chciałam dać jałmużnę, téj biédnéj kobiécie i zawołałam ją tutaj z ulicy— Cóż w tém złego?

— Co złego? podchwyciła Ochmistrzyni, ale to szkaradnie! Czyż to się godzi żeby żebracy dotykali W. X. Mości. Coby na to rzekł P. Kasztellan, gdyby się dowiedział; Bóg wié jaka żebraczka złodziejka.

— Ale ona się zawsze modli w naszéj Cerkwi —odpowiedziała Xiężna — ja ją znam.

— Oni to roznoszą zarazę i choroby po mieście, mówiła ciągle szybko Ochmistrzyni, jeszcze tu, Boże uchowaj, jakiéj zarazy naniosą — Precz! precz! ja jéj muszę kazać dać

naukę, żeby się drugi raz nie ośmieliła włóczyć po kamienicy.

— Na miłość Boga, zawołała Xiężna nie czyńcie tego Pani Włodska, nie czyńcie — Czyż się to godzi, mnie wstyd robić. Kiedym ja ją zawołała, a wy jéj krzywdę uczynicie, to spadnie na moje sumienie, moja droga Pani, dajcież jéj pokój. A do Xięcia ozwała się.

— Idźcie sobie, idźcie poczciwa kobiéto— Bóg z wami, idźcie, czego stoicie. Xiąże się ruszył, a Zofja schwyciwszy za ręce Ochmistrzynią, trzymała prosząc ją ciągłe. Ta zaś wyrywała się i krzyczeć chciała na sługi, aby żebraczkę ze wschodów zepchnęli. Tym czasem Xiąże Janusz schodził ze wschodów i śpieszył do bramy, ale tu niespodzianie, zastał ciżbę dworzan, którzy rozmawiając z wrótnym, wyjście mu zaparli. Chciał się przecisnąć przez nich, nie było sposobu. Skurczywszy się więc jak mógł, przypadł w kątku ciemniejszym i czekał. Tym czasem noc stawała się coraz ciemniejsza, a panowie dworscy, pogadawszy chwilę, rozchodzić się poczęli i już Xiąże Janusz do wrót się cisnął,

gdy go wrótny postrzegł i za kołnierz pochwycił!

— Coś ty za jedna? Po co ty tu? Héj! złodziejka! krzyknął — Hola, he!? Jest tam kto? trzeba ją przetrząść i ochłostać, kiedyś ty się tu wkradła? jak? — I wrótny wrzeszczał na całe gardło, a na hałas ten u bramy już się posunęli ludzie z drugiego dziedzińca, gdy Xiąże Janusz widząc niebezpieczeństwo swoje szarpnął się mocno, wyrwał wrótnemu i pogonił w drugą stronę pędem, sądząc, że wrota przeciwne zostanie otwarte. I te wszakże zamknięte już były i zasunięte drągiem. Od nich więc biegł po pod murem, ku stajniom, a dopadłszy gdzieś siana, ukrył się i znowu przypadł.

Tym czasem na głos wrótnego—

— Złodziéj! złodziéj! wszyscy się zbiegli.

— Gdzie? co? wołali.

— O tu, tu był, trzymałem go za kołnierz, mówił wrótny, tylko co mi się wymknął i pobiegł w tamtą stronę dziedzińca — Latarni dajcie, latarni.

Pobiegli po latarnią. Słyszał to wszystko

Xiąże Janusz i myślał co miał począć, a przygotowawszy broń którą miał pod łachmanami z bijącém sercem wyglądał, aż go znajdą. Wkrótce dało się słyszeć chodzenie po kamienicy i gadanie. Przetrząsano kąty, zaglądano w kryjówki, otwiérano drzwi. Głosy zbliżyły się do stajeń, ale tu nie wiém czemu nikomu na myśl nie przyszło, szukać złodzieja. . . Długa godzina tak upłynęła w niespokoju i Xiąże Janusz usłyszał wreście jak wrótny drzwi zamykał, mówiąc.

— Niechaj no przyjdzie dzień, to go tu znajdziemy, boć się przez mury nie przedrapie, ani się gdzie skryje — Ja go jutro dopilnuję, gdy wrota otworzą. Jakoż wszyscy się rozeszli powoli i Xiąże Janusz, sam w stajniach na sienie pozostał. Wkrótce uciszyło się zupełnie, a miarkując po czasie i po wołaniu nocnych stróżów, wyrachował, że około północka już być musi. Nie biedził się wcale Xiąże wyjściem, bo szczęściem miał z sobą, ów klucz, któren mu kazał dorobić z wycisku na wosku Tomiło Tomiłowicz. Zapomniał tylko Xiąże, od któréj był furtki. Nie tracąc

jednak śmiałości wyszedł ze stajen i po pod murem, korzystając z ciemności powlókł się naprzód do furtki od ulicy Sawicz, odrzucił drąg, poprobował klucza — klucz nie przypadł.

Potrzeba więc było Xięciu przebyć cały dziedziniec i do drugiéj furtki się dostać. Ale wtém, gdy się już z kluczem do drzwiczek zbliża, i w ciemności ich szuka, słyszy za sobą chód. Zastanawia się. Któś idzie do furtki także. Xiąże już ją odemknął i miał się z kamienicy wysunąć.

— Kto tam? ozwał się nadchodzący.

Xiąże Janusz przypomniał sobie, jakim sposobem Tomiło Tomiłowicz klucza dostał i odpowiedział.

— Swój, idę po wino dla P. Barberjusza.

— Co? zawołał nadchodzący — i wy? a któż wam dał klucza od furtki?

— Kto? a co Waści do tego?

— I bardzo do tego, rzekł zbliżając się Brożek, on to bowiem był, bo ja mam klucz od téj furtki dany mi przez P. Burczaka i idę po wino dla P. Barberjusza.

Gdy to mówił, już Xiąże znikł w ulicy i szybko dążył ku swemu pałacowi, gdzie go u wrót czekał Tomiło Tomiłowicz przestraszony długą niebytnością, niespokojny, nie wiedząc już co począć, lękając się gniewu Wojewody, gdyby się o tym wypadku dowiedział.

— To Wy! zawołał, a dziękić Bogu! bo od kilku godzin truchleję ze strachu.

— Zawsześ tchórz Tomiło Tomiłowicz, od rzekł Xiąże — Byłbyś niechybnie umarł gdybyś był na mojém miejscu i w mojéj skórze, gdy mnie jak złodzieja chwytano.

— Jak złodzieja! wykrzyknął Tomiło, W. X. Mość!

— To szczęście żem miał z sobą twój klucz Tomiło, boby inaczéj dali mi byli naukę dobrą, odpowiedział Xiąże, wchodząc do pałacu. A tak im z rąk uszedłem.

I śmiejąc się dodał.

— A twój dworzanin znowu po wino poszedł, właśnie go spotkałem we wrotach ze dzbanem i gdy mnie spytał — kto jestem? odpowiedziałem mu, że idę po wino dla P. Barberjusza, będzie tam z tego gadania wiele.

—Nic to wszystko, rzekł Tomiło, byleby W. X. Mości, nikt nie poznał — a niechaj im się we łbach jak chce przewraca!

To mówiąc otworzył furtkę Kardynalij i wprowadził Xięcia Janusza do jego mieszkania tylnemi wschody.

V.

O s t r a b r a m a.

V.

Ostrabrama.

NIEDALEKO Monasteru i Cerkwi Stauropigjalnéj Ś. Ducha, a z drugiéj strony o staje tylko od Gościnnego Dworu Kupców Ruskich, na Ostrym końcu, wznosiła się

jedna z pięciu bram miasta, przed stu laty za Alexandra zmurowanych, gdy popłoch od Tatarów, przynaglił Króla, Wojewodę, Biskupa Wojciecha, do pomyślenia o obwarowaniu miasta i zabezpieczeniu się w niém, od najazdu dziczy pogańskiéj. Brama ta była nastrzępiona blankami i dwóma wieżyczkami, w których gdyby oczy, czerniały strzelnice puste, bo minęła chwila strachu i śmigownice leżały znów i rdzawiały w Cekhauzie miejskim. Ciężkie dębowe nabijane żelaznemi gwoździami wrota, stały jeszcze otworem na potężnych wrzeciądzach, w górze po nad niemi gęsta żelazna krata zasłaniała otwór Bramy. Nie było na piętrze mieszkania żadnego, tylko od strony miasta, po nad wrotami w murze, widać było w framudze niegłęboko wydrążonéj Obraz Matki Bozkiéj, zasłonięty malowanemi okiennicami, przed którym paliła się mdłém światełkiem lampa. W koło framugi wystająca, była galerijka żelazna, do któréj z dołu pobożnych, wiodły wschodeczki wązkie, z boku budowy, zewnątrz przyczepione. Już naówczas obraz w Ostréj Bramie znaj-

dujący się, był w wielkiém poszanowaniu u ludu, który się doń modlił we wszystkich swoich potrzebach i strapieniu wszelakiém. Nie było jednak przed obrazem ołtarza i jedna tylko lampa utrzymywana przez pobożnych, paliła się w framudze, a wązka galerijka przy obrazie, zaledwie kilka osób razem pomieścić mogła. Magistrat swoim kosztem, gdy nie dostawało ofiar, palił lampę przed obrazem, uważając już za opiekunkę i patronkę Matkę Bożą, któréj łagodne oblicze wznoszące się po nad głowami mieszkańców, z założonemi na piérsiach rękoma, zdawało się tulić biédnych do siebie i płakać nad niemi.

Mieszczanie przechodzący tędy zdejmowali z uszanowaniem czapki i kapuzy, a kupcy Ruscy stojąc we drzwiach swego gościnnego domu, ganiali Żydów którzy zbliżając się do Ostréj Bramy nie zdejmowali nakrycia z głowy; — tak, że rzadko Żyd tamtędy, chyba po nocy, przejść się odważył.

W Bramie siedział Wrótny i Strażnik miejski pobiérający od przejeżdżających na targowisko chłopków, grosze od woza lub ka-

mienie, któremi także prawo wjazdu do miasta opłacano w początkach. Nieraz pod tym Matki Bozkiéj Obrazem zacięta walka i spór i bójka się wszczęła, nieraz się zakrwawił bruk i garśćmi włosów zarzucił, nieraz krzyki pijanych i przekleństwa rozhukanych, o te mury się odbiły. Lecz Matka Boża, darowała grzesznikóm.

Nieco opodal od Bramy siedziały kilka przekupek, jedne ze świętościami, inne z pierniczkami. Te ostatnie zwano łakotnicami, bo po mieście roznosiły łakocie w koszykach. Piérwsze zaś przedawały szkaplerze, pierścionki, krzyżyki, obrazki i t. p. Były to ubogie niewiasty, które tym sposobem wstydząc się żebrać, powszedni chléb zarabiały uczciwie. Łakotnice, kobiéty po większéj części z przedmieść trudziły się przedażą słodyczy, owoców, to roznosząc je po mieście, to siedząc w miejscach najętych na zydlach, po za stoły drewnianemi, na których na misach i czerepkach, rozłożone stały łakocie, pierniki, makowniki, owoce. Tego wieczora już się łakotnice zabiérały do domów, już prze-

kupki szkaplerzy i krzyżyków zwijały swój kramik, już i Strażnik Miejski, chodził gwarząc po bramie, czekając chwili, w któréj z czystém sumieniem, będzie mógł zamknąć wrota i pójść do ciepłego swego kąta.— Wtém od miasta, ulicą dał się słyszéć chód szybki po bruku i młody wysoki mężczyzna ze dzbanem w ręku próżnym, przybiegł pod Bramę. Wszyscy spójrzeli na niego, pomięszany był i nieprzytomny. Wdrapał się na wschodki do obrazu wiodące i ukląkł przed nim, a postawiwszy dzban jął się gorąco płacząc i chlépiąc modlić. Lampa mdlała przed obrazem, on płakał.

—Otoż, ozwała się Marussa łakotnica, spoglądając na stróża bramnego, jakiś biédny pacholik modli się do naszéj Matki Bozkiéj, a płacze!! Widać go coś przypiekło!

A strażnik wychyliwszy się z wrót, spójrzał w górę, pokiwał głową i rzekł.

—Gorącoż się modli, musi mu coś djable dolegać.

—I stara szkaplernica Iwanowa z Łuki-

szek, obróciła się, utarła nos poważnie (bez pomocy fartucha) i rzekła.

— Jakiś nieborak, ode dworu czyjegoś, bo porządnie ubrany, znać go kara może jaka ma spotkać, bo się Matce Bożej wyprasza.

A na galerji klęcząc i płacząc modlił się P. Brożek (on to był znowu) załamawszy ręce.

— Matko Bozka cudowna! wołał podnosząc oczy i ręce, cóżem ja uczynił, że mam umrzéć. — Ach! czyż to na mnie pora umierać!

— Gada o śmierci! rzekła zcicha do łakotnicy Pani Iwanowa, coś to niemałego!

— O śmierci? spytał ciekawie strażnik. Daćby może znać do Ratusza, może to hultaj jaki, albo się myśli targnąć na siebie. Wziąśćby go i związać i w turmę posadzić, a dać na pytki, toby wszystko wyznał.

— To nawet czego nie zrobił! dodała Pani Iwanowa.

A P. Brożek modlił się.

— Matko Bozka cudowna, ochroń mnie od niezawodnéj śmierci! Zlituj się nad młodo-

ścią moją, ja życie poprawię i do Klasztoru wstąpię.

Strażnik podsłuchiwał Brożka.

— To już nie chybi, szepnął, jakiś zbrodniarz skazany, złapać by go, musiał się tylkoco wyrwać z więzienia i myśli do Klasztoru, żeby go ztamtąd władza świecka nie odebrała.

Gdy się tak P. Brożek modli, a Strażnik domyśla więcej niż jest, z drugiéj strony nadbiegają od Ostrego przedmieścia Miednickim gościńcem ku Bramie, jacyś jezdni. Strażnik ku nim się odwrócił i twarzą i uwagą całą. Bo było ich kilkunastu, a jechali kłusem na tęgich hestrach, a śpieszyli znać, żeby Bramy nie zaparto przed niémi. Jak tylko ujrzeli Strażnika, jęli na niego wołać.

— Hola ho! Straż! Nie zamykajcie wrót!

— Albo co? spytał Strażnik mając się do czapki, bo przeczuwał w jezdcach dwór jakiegoś znakomitego Pana.

— Zaraz za nami dążą, posłowie J. Królewskiéj Mości. Panowie Senatorowie z Warszawy!

Strażnik się pokłonił, oni wjechali wrotami, pozdejmowali czapki przed obrazem i stanęli na ulicy, oglądając się po za siebie.

— Strażnik był ciekawy, jakoż nizko czapkę zdjąwszy i łagodną nastroiwszy uśmiéchającą się minkę, zbliżył się ku nim i rzekł.

— A nie można by wiedzieć, co są za ci Panowie Senatorowie?

— Cóż ci z tego przyjdzie, spytał jeden konny — choćbyś i wiedział?

— Będzie nosił po mieście nowinkę — dodał drugi.

— Albożto pospolitemu człowiekowi, niewolno mieć i odrobiny ciekawości, rzekł strażnik uśmiéchając się a wdzięcząc. Toć to każdy ciekawy, każdy radby wiedziéć coś więcéj od drugich. A zaniosłszy nowinę na Ratusz, dostałbym co od Panów Radnych.

Nie odpowiedzieli jezdni, nic na to, tylko się na wrota patrzali, a tym czasem podeszła ku nim łakotnica z koszykiem i częstowała ich łakociami, na które się rzucili bardzo łapczywie i targować je, jeden przed drugim zaczęli.

Mieszczka zaś, po swojemu wdzięcząc się i uśmiéchając do Panów Dworzan Senatorskich, powoli badać ich zaczęła. Co inszego to, gdy pyta kobiéta, co innego gdy mężczyzna; zwłaszcza gdy kobiéta jeszcze młoda i hoża; jakoż rozwiązały się usta poniewoli dworzanom, gdy ich tylko zaczepiła łakotnica, poprawując sobie czarnego czółka, i rzucając na nich po kolei, niebieskiemi oczyma.

—Wieleż to tych Panów Posłów? spytała. A gdzież to oni jadą?

—Tutaj jadą do Wilna, tu, odpowiedział najbliższy chowając pierniki do kieszeni kaftana, prosto i umyślnie do was, do Pana Wojewody i P. Kasztellana, żeby ich rozbroić i wojny między niémi, nie dopuścić.

—A! chwałaż Bogu, odpowiedziała mieszczka, to już wojny nie będzie?

—Pewnie, że nie będzie! rzekł drugi.

—I miasto zostanie spokojne! Chwałaż tobie Boże! dodał strażnik.

— A jacyż to Panowie? wypytując zagadła znowu łakotnica.

— Xiądz JM. Biskup Żmudzki — rzekł jeden jezdny, mój Pan.—

— Pan Wojewoda Witebski — ozwał się drugi.

— Pan Marszałek Litewski — rzekł trzeci.

— I Pan Podskarbi, dorzucił pierwszy. Ale cicho! sza! precz z drogi — bo oto już jadą — Jakoż gdy to mówili, ulicą przedmieścia, pokazał się jakby sznur czarny ruszający się, zbliżający ku bramie. Gdy głowa jego wsuwała się w Bramę, ustąpili wszyscy na bok z drogi i w milczeniu poglądali. Jechały tam kolassy ozdobne, szły wierzchowe konie, byli dworzanie, byli pachołcy i wielkie bryki skórami okryte, na których kuchnią i tłumoki wieziono. Dwóch z Panów Senatorów, których łacno było poznać, po bogatych strojach i po minach poważnych, jechali konno; dwóch w kolassach posunęli się prosto minąwszy Bramę ku Ratuszowi i dalej pod Zamek.

Gdy się to dzieje, modli się na galerji u Bramy. P. Brożek, a wymodliwszy się zabiera dzban i odchodzi wolnym krokiem do do-

mu dumając. I on był świadkiem wjazdu, dowiedział się o PP. Senatorach, śpieszy z nowiną do domu, trochę uspokojony modlitwą, Jednakże nim do Chodkiewiczowskiej kamienicy doszedł, napełnił dzban u Malchera i skrywszy go pod połę, wtacza się w dziedziniec, drapie się na wschodki, wchodzi, gdzie na niego czekali P. Barberjusz, P. Stanisław, P. Burczak i kilku jeszcze innych.

— Ale żeś się bawił, Panie Brożek — rzekł Francuz wyciągając rękę po dzbanek, jak gdybyśmy cię posłali o cztery mile. Dobrze WMości, po tutejszemu mówiąc, posyłać po śmierć, nie po wino.

— To też ja sobie śmierć wychodziłem — rzekł Brożek smutnie dzban stawiając.

— Co? spytał Barbier — co? Jaką śmierć? WMość od wczora jesteś jak postrzelony?

— Bo to się wczoraj stało — odpowiedział Brożek.

— Cóż się wczoraj stało? spytali ciekawie wszyscy.

— Na co to już i mówić!

— No! ale cóż to jest? podchwycił żywy

Francuz, ja uważałem zaraz po Wasz Mości, żeś wczoraj jak zdjęty z krzyża powrócił i nic nie mówił. Cóż to ci się stało? Przecież to nie tajemnica żadna, zapewne—? Co WMość o jakiéjś śmierci prawisz?

— Trzeba mi umrzéć! odpowiedział Brożek.

— A toż dla czego? Cóż to jest, mówże wszystko? rzekli przytomni otaczając go. Jak to było? odgroził się kto na WMości, czy co?

— Żebyż się tylko kto odgroził? Ale to.

— Ale cóż?

— Ot tak było, rzekł wreście obsedowany Brożek. Wczoraj WMość posłaliście mnie po wino, bardzo późno, i myślę że już północ być musiała — godzina duchów i zjawisk.

— Cóż się WMości ubrdało! rzekł Francuz gdzieżeś widział jakie zjawisko?

— Zbliżałem się do furtki kamienicy, aby ją otworzyć, gdy ujrzałem —

— Cóż ujrzałeś?

— Drugiego takiego jak ja, z kluczem i dzbanem idącego przede mną? Kto tam? spytałem? A on mi grubym głosem — Idę po wino dla P. Barberjusza — Ja jeszczem się

nie zląkł — To ja idę po wino — rzekłem — To ja, odpowiedział mi duch i otworzył furtkę.

— Furtkę otworzył! krzyknął P. Burczak, czémże ją otworzył, kiedy u WMości był klucz.

— Bo to był duch — rzekł Brożek — otworzył ją mówię, wyszedł przede mną w ulicę i zniknął.

Wszyscy słuchając tego opowiadania osłupieli.

— To się WMości śniło chyba — zawołał P. Barbier.

— Żebyż mi się śniło! odpowiedział płaczliwie Brożek, ale to święta prawda, na którą przysięgnę — Chodziłem wczoraj umyślnie pytać rozumnych ludzi i kobiét starych, powiedzieli mi, że ten duch, to oznajmienie śmierci mojéj, któréj się nie uchronię, chyba wstępując do Klasztoru.

— Brednie, odrzekł Barbier szybko — Wszystko ci się marzyło — To być nie może.

— Kiedy mówię — zawołał Brożek i ręczę, że tak było. Taciem nie ślepy, tać się furt-

ka otworzyła, taciem ja ją potém zamknął, chociażem nie odmykał. I mimo ciemności widziałem jednak, że to był zupełnie *alter ego*, drugi ja, takusienki.

— W głowie mu się pomięszało — rzekł Barbier, pijmy tym czasem. I kubki nalé-wał, a potém rzekł do Brożka.

— Rozpatrz no się WMość, czyś tylko nie był wówczas pijany.

— Na Świętą Trójcę WMości przysięgnę, żem w gębie nic nie miał — rzekł Brożek ręce krzyżując. Byłem przytomny, jak teraz jestem i widziałem to oczyma własnémi.

— Dziwna rzecz — przerwał Burczak, ale najdziwniejsza, że ten duch furtkę otworzył, bez klucza — Bo klucz był u WMości.

— Jak Bóg Bogiem prawda, że furtkę otworzył i w moich oczach nią wyszedł.

Wszyscy umilkli.

— A gdzieżeś się dziś tak długo bawił, spytał P. Barbier — Przecież to wczoraj się działo.

— Chodziłem się modlić — odpowiedział Brożek wzdychając, modlić się do Najświęt-

széj Panny w Bramie Ostréj i prosić, żeby mnie ode złego zachowała. Widziałem tam właśnie, jak Panowie Senatorowie przyjechali.

— Jacy PP. Senatorowie?

— Od Króla J. Mości, wysłani do Pana Kasztellana i Pana Wojewody dla ugody.

— Przyjechali? zawołał zrywając się Pan Barbier,

— Przed chwilą.

— A czemuż tego nie mówisz— trzeba biedz z uwiadomieniem do JMP. Kasztellana. To mówiąc Francuz rzucił dzban i porwał płaszcz i szpadę— Daj mi WMość klucza, rzekł do Burczaka, ja zaraz powrócę.

To mówiąc skoczył pędem do Kasztellanij.

VI.

Ojcowie Jezuici.

VI.

Ojcowie Jezuici.

Gdy się to dzieje, a Panowie Senatorowie od Króla przysłani do Wilna przybywają dnia trzydziestego Stycznia 1600 roku; wieść się tym czasem rozchodzi, że

wojska Radziwiłłowskie w wielkich ufcach ciągną ku Wilnu, ze wszystkich stron i kupią się razem. Głośno o tém stronnicy Wojewody mówią i o liczbie i o doborze. Ale nawzajem Katolicy głoszą, iż Jan Karol Starosta Żmudzki z kilką tysiącami ludzi i kilkunastu działami, ciągnie także do Wilna i już jest tylko o cztéry dni drogi od niego. Obie strony w milczeniu i pozornéj obojętności gotują się zetrzéć i orężem popiérać sprawę; obie strony powtarzają — Zobaczemy!

Tym czasem o przybyciu Senatorów, wieść głucha rozchodzi się po mieście, jako o wypadku ważnym, z którego wszyscy wielkich oczekują skutków. Każdy inaczéj wysłańśtwo ich tłumaczy i dane im polecenia; ten w ich przyjeździe widzi z urzędu Królewskiego zupełne zabronienie wojny, krok przynaglający do zgody. Inni lepiéj widzący rzeczy postrzegają, że PP. Senatorowie są tylko medjatorami, którzy absolutnie nic nie rozstrzygną i siły potemu nie mają, aby rzecz ukończyli. Oczekiwania niespokojne — oczy wszystkich zwracają się na nich, mówią o tém tyl-

ko, spoglądają tylko w tę stronę. Jakkolwiek bądź, zawsze ciekawe, jak medjacja Królewska przyjęta zostanie i jaki sprawi na umysłach powaśnionych skutek. Jeden drugiemu szepce do ucha — Senatorowie przybyli! Jeden drugiemu w oczy patrzy jak to przyjmie, najśmielsi czynią wnioski, najograniczeńsi formalnie widzą w tém hasło pokoju, zwiastuństwo zgody.

Zaledwie Bramą Ostrą wjechali do miasta Senatorowie posłowie i rozjechali się do domóstw i pałaców znajomych swych krewnych, lub zamówionych gospód — już wszyscy wiedzą o nich w mieście. P. Barbier pobiegł do Kasztellana z wiadomością, Tomiło Tomiłowicz do Wojewody, a laik Jezuicki, wszedł cicho do celi Rektorskiéj, w któréj Ojciec Garsias Alabianus z Janem Brandtem siedzieli rozmawiając pocichu.

Na szelest chodu Ojcowie umilkli i obrócili się. Z założonemi na piersiach rękoma, ze spuszczoną głową i oczyma, zbliżył się do ucałowania ręki Rektorskiéj laik — Po czém ozwał się zcicha.

— PP. Senatorowie od Króla JM. już przybyli.

— Kiedy? spytał Rektor.

— W téj chwili.

— Dobrze — odpowiedział O. Garsias i ręką dał znak wyjścia braciszkowi. Ten znowu trzykroć się skłonił i cofając się powolnie wyszedł. Ojcowie zostali sami. Ledwie się drzwi zamknęły powstał z siedzenia Garsias i wodząc oczyma po celi, rzekł do Jana Brandta.

— Teraz do dzieła Ojcze — mówiłem Wam i nie potrzebuję powtarzać, że zgoda heretyków z naszemi, będzie dla nas śmiertelną. Raczéj wojnę przystało wybrać, w któréj wedle wszelkiego rachunku, nowowiercy szwank ponieść muszą śmiertelny. Rachujmy téż na to, że wojna drażni i utrzymuje w nienawiści ku tym, do których związki familijne—jedność towarzyskiego położenia, stosunki—zbliżają. Jeśli przyjdzie do zgody, jeśli PPowie Chodkiewicze podadzą ręce Radziwiłłom i heretykom, ustanie ich czynna opieka nad nami, wojna spadnie na nas samych — a zaiste nam samym jest ciężka. Chodzi więc o

to, chodzi bardzo, w sprawie religji, w sprawie Zakonu, aby PP. Senatorowie zgody *nie zrobili*. Aby waśń i zajątrzenie trwało i rozszérzało się.

— Bez wątpienia, odpowiedział Brandt widzę to i mogę ręczyć, że Chodkiewicze dalecy są od zgody.

— Dalecy! Tak sądzicie Ojcze? spytał Rektor. Ja inaczéj. Ja się boję powagi listów Królewskich, rozkazu, boję się aby patrząc na wysilenie heretyków i ogromne ich siły PP. Chodkiewicze, nie pożądali zgody, lękając się o zwycięztwo.

— Nie lękają się nikogo to pewna — Zwłaszcza Jan Karol, rzekł Brandt, ufa on że stojąc tylko w odporze, nie da się im pożyć.

— Nasza rzecz, rzekł Rektor chodząc, utrzymać niezgodę, ogień podsycać, bo zgoda ich, jak mówiłem i powtarzam WMości, spędzi wojnę na nas samych, odbierze nam sprzymierzeńców silnych, zgoda uspokoi umysły, którym niebezpieczny pokój, które potrzeba utrzymywać w ciągłéj nienawiści ku heretykom. Nasza znowu, nie dopuścić starcia się

zarówno jak zgody. Bo i starcie się niebezpieczne równie. Kto wie, przy kim zwycięztwo. Zwycięztwo uzuchwaliłoby ich i mogłoby mieć niewyrachowanie złe skutki. Chodzi więc o to, aby nie dać im się pogodzić i nie dopuścić się zewrzeć. Rozumiecie mnie Ojcze?

— Doskonale — odpowiedział Brandt, i tak myślę właśnie o tém, jak Wy.

— Przyłożcież starania do piérwszego naprzód, rzekł Rektor, to jest postarajcie się przygotować Panów Chodkiewiczów, aby zgody jako uwłaczającéj im nie przyjmowali. Mówcie im że Król w prywatnych spory mięszać się nie ma prawa, że Radziwiłłowie pragną zgody, że się boją, że oniby okazali mało serca, gdyby podali rękę. Niech stoją śmiało, a pewni będą, że nie damy im paść, bo wszyscy Katolicy z niemi i z nami.

— Powiém to wszystko, rzekł Brandt i więcéj jeszcze. Znam ja PP. Chodkiewiczów, boli ich to, że Radziwiłłowie silniejszemi się okazują i lekce ich ważą. Potrafię to uczucie któregom pewien podnieść i rozżarzyć, potrafię im dowieść, że zgoda by ich upokorzy-

ła, że nie mają się czego lękać wojny, boć o to świeżo Xiąże Wojewoda posyłał ku nim Kanclerza Sapiehę z innemi. A to co znaczy, jeśli nie, że ich się lękają i potrzebują. Rachujmy też coś na wielką obrazę Kasztellana, któremu dekret ów do żywego dopiekł.

— Nie wadziłoby, rzekł Rektor, trafić wprzód i do przybyłych Panów Senatorów. Zważałem to nieraz, że kiedy kto z góry o skutku zwątpi, nie tak popiéra to, z czémby był wprzódy szedł śmiało, gdyby miał nadzieję co zrobić. Dobrzeby więc było, zrazu PP. Senatorom odebrać wszelką nadzieję skutku, aby lżéj koło tego chodzili, nie biorąc bardzo do serca zgody zupełnéj.

— A tu naprzód, rzekł Brandt, do Xiędza Biskupa Żmudzkiego, trzebaby się udać i zachwiać go, bo najsłabszy sądzę, a do niego najłatwiéjszy przystęp. Potém do Panów Zawiszów, przez kogośby trafić wypadało.

— Znajdziemy przez kogo i trafim w czas— lecz myśl tylko Ojcze o Chodkiewiczach, abyś im zgody zrobić nie dał—przerwał Rektor— Już ja od siebie insynuację do X. Biskupa

Żmudzkiego i innych, drogą pewną prześlę — Bierzcie tylko na siebie Kasztellana.

— Chętnie, rzekł X. Jan.

— Mam ja takiego, odpowiedział pocichu Rektor, który jeszcze i Radziwiłłom dumę rozjątrzy dobrze wcześnie, aby i oni ze swéj strony trudni byli. Bo powtarzam zgoda dla nas straszna i sprawie religji nie dobra. Czas do wojny, wojną pożyliśmy już heretyków trochę, wojną ich dobijem. Większość nasza wszędzie, wpływy wielkie. Krzyczéć im wolno i konfederować się, ale co to pomoże, gdy każdy z nich jak *exul* w kraju i obcy.

— Jedno mię straszy, rzekł Brandt pocichu, to położenie JMP. Kasztellana który zależy wielce od PP. Radziwiłłów dla tego niesłusznego processu.

Nie dał mu mówić Rektor i przerwał.

— A do czegoż Jan Karol i Alexander — Oni go strzegą od zgody. Wy zaś starajcie się okazać mu, że się poda w pogardę pojednaniem, że z heretyki zgoda niemożna jest i zła, że nawet małżeństwo X. Janusza, wedle

praw krajowych, nie już Kościelnych, niepodobne —

To są rzeczy o których wié Kasztellan, i któremi mu uszy nabito, ani wątpię że daleki jest od zgody. Ale wszakże, gdy jak w każdym człowieku przyjdzie zwrót myśli na siebie —

— Jeżelibyście sądzili, że ten zwrót myśli blizki albobyście ku niemu nakłonienie postrzegli, naówczas zręcznie wspomnieć wszystko co poniósł i wycierpiał od Radziwiłłów — a w ostatku —

— W ostatku? spytał Brandt.

— W samym ostatku, rzekł Jezuita pocichu, zbliżając się do Brandta, można by zdala ukazać, podobieństwo znalezienia takich przyjaciół, którzy mu dopomogą do uiszczenia się, tak, że honor jego nie ucierpi.

— Ale kogoż wskazać? spytał Brandt — tak ogromna summa?

— Rozumiécie mnie, pocichu szeptał Rektor, w ostatku i ostateczności, jeśli Zakon będzie miał do wyboru zgodę i wynikające z niéj skutki, albo jaką ofiarę — może *indirecte*

Kasztellan weźmie pieniądze i uczyni zapis— To prócz tego zrobi na umysłach wrażenie—

— Rozumiém—odpowiédział Brandt.

— Nie jest to jednak rzecz, którąby na stół przed wszystkiemi wykładać było można, Ojcze. W ostatku, w konieczności— i to—zdaleka—ostróżnie, nie wyrywając się przed czasem, nie okazując zkąd to pochodzi, przez drugie ręce—mogłoby się.

Brandt powstał z krzesła i kiwnął głową.

— Dość, dość, rzekł—ale rozumiém że tego nie będzie potrzeba.

— I ja życzę tego i rozumiém, że się obejdzie—bez ofiar ciężkich.

— Idę więc do Kasztellana, dodał Brandt.

— Niech was Bóg szczęśliwie prowadzi, odrzekł O. Garsias wiodąc go do drzwi, a z powrotem bądźcie u mnie i powiécie mi co uczynicie.

Za czém wyszedł Ojciec Jan Brandt z celi Rektorskiéj, pociągnął się kurytarzem i wyszedł w ulicę, mimo Kościoła Ś. Jana.

Zmrok już padać zaczynał, a przecież dostrzegła Jezuickiéj czarnéj sukni przesuwają-

céj się po murze białym Kościoła, służba Radziwiłłowska stojąca u wrót Kardynalij, przeciwległych Archiprezbiterjalnemu Kościołowi. Śmiéchy, najgrawania, szyderstwa poleciały w tę stronę. Nie odwrócił wszakże głowy Jezuita i szedł spokojnie daléj; aż się zwrócił w ulicę Zamkową, gdzie go te głosy nie dochodziły. Daléj już spokojną miał drogę do Kasztellańskiego domóstwa.

Ale niełatwo O. Jan Brandt docisnął się do Kasztellana. Była to wieczorna jego modlitwy godzina. Pobożny starzec odmawiał pacierze przechadzając się po obszérnéj komnacie sam jeden, z paciórkami w ręku, z xięgą oprawną w jaszczur z wielkiemi srébrnemi klamrami. Zapukał wreście długo wyczekawszy się Jezuita i wejść mu dozwolono. Kasztellan ukończył modlitwę, przeżegnał się, położył różaniec i xięgę, kazał podać krzesło Ojcu i sam usiadł przeciw niego.

— No — Ojcze — cóż słychać? spytał naprzód — To zwykły początek każdéj rozmowy! Zapewne nic nowego!

— I owszem, odpowiedział Brandt, jest nowina i ważna.

— Cóż to takiego! kogo się to tycze partykularnie?

— Was Mości Kasztellanie najbardziéj, cicho dodał Jezuita.

— A więc? Co to jest, Ojcze?

— Panowie Senatorowie przybyli posłani od Króla Jego Mości, dla uczynienia tu zgody.

— Już przybyli! rzekł z widoczną niespokojnością Kasztellan.

— Tylko co! — Przed godziną — Wiadomo zapewne jacy.

— O! wiém o tém i mało nie to, co w listach J. K. Mości do nas pisanych się zawiéra — odrzekł Kasztellan.

— Dziękujemy Bogu, rzekł Jezuita, że to może zgodę upragnioną sprowadzić.

Kasztellan spójrzał w oczy Jezuicie z podziwieniem i nic nie rzekł na to.

— Zgoda zawsze pożądana, dodał Ojciec Jan, tém bardziéj, gdy między jednego kraju obywatelami i znakomitemi ludźmi, których

nieporozumienia mogą być tak dla wszystkich szkodliwe.

— Zapewne, rzekł Kasztellan, a jednak mamli WMości szczérze powiedziéć, to nie wierzę w tę zgodę.

— Jak to? z udaném doskonale podziwieniem zawołał Jezuita. I Wy nie myślicie Mości Panie, aby ona dójść mogła?

— Bardzo o niéj wątpię.

— Tak to jest! rzekł Jezuita znowu z podziwieniem odgrywaném, gdyby w dialogu.

— Wieleby o tém mówić, rzekł Kasztellan, a napróżno, bo sami wiécie to jak ja, wiécie ile nas obrażono, ile —

— Obrazę znam, rzekł Jezuita przerywając. Co chwila ją jeszcze mnożą językiem i odgróżkami.

— Potém, dodał Kasztellan, nic nie znamionuje, aby JMPP. Radziwiłłowie na *nasze* warunki zgodzili się, my zaś od nich nie odstąpim.

Jezuita spójrzał ciekawie w oczy Kasztellanowi, jak gdyby badał go, ale ujrzał w nich

tylko potwierdzenie wyrzeczonych wyrazów i uspokoił się.

— Zapewne, dodał naówczas — Ja sam życząc zgody niewiele miałem nadziei, aby przyszła do skutku. Z heretyki ona nawet dla sumienia niebezpieczna.

— To pewna, rzekł Kasztellan, że jeśli zgoda, związki przyjaźni i stosunki mą przywrócić, tychbym się lękał nawet jako Katolik, gdyż obcowanie z zarażonemi, zaraża i kala.

—Święta prawda, podchwycił Jezuita wzdychając pobożnie. Wszakże, dodał probując ciągle—powaga J. K. Mości, perswazje Panów Senatorów.

—Nic nie potrafią, żywo i prędko dodał Kasztellan—nic nie potrafią na nas. Szanujem wolę J. K. Mości, ale rzeczy tyczących się spraw, nasz honor i familję obchodzących rozstrzygać nie można jednym rozkazem. Albowiem to nie dziecinny spór, który rodzice do pocałunku sprowadziwszy powaśnionych

kończą—W sercu tkwią głęboko niedarowane obrazy.

— Zaiste boleśna słuchać o tém i żyć w czasach takich—rzekł Jezuita. Cóż to wszystko przywiodło, jeśli nie jedna wielka omyłka ś. p. Zygmunta Augusta, który się dał ludziom innych wyznań w kraju nagniezdzić i wiarom wszelkim swobodę nadał, gdy był powinien jak pobożny Jagiełło, zastawić się od nich zaporą postrachu. Otoż dziś skutki jednéj chwili pobłażania —

— Prawda, macie słuszność Ojcze—rzekł Kasztellan smutnie, wszystko to z tego idzie, żeśmy nie jednéj wiary—Panowie Radziwiłłowie nie śmieliby żądać tego związku, aniby tak postąpili, postąpić mogli, gdyby nas łączyła jedność wiary. I zgoda byłaby łatwiéjsza i wyrozumienie większe z ich strony. Podzielił się dziś kraj, szlachta, panowie, a dobraż to?—a chwalebnyż to przykład dwóch partij w kraju i nieprzyjaciół między bracią.

— Cóż na to radzić, rzekł Jezuita, alboż z heretyki zgoda i przyjaźń, dobrą być może?

Nigdy—póki się nie nawrócą. Bracia to są, prawda, ale w błędzie zostający i do błędu pociągający. Słuszna więc że się od nich dobrzy dzielą i rozstępują, aby o zapowietrzonych nie ocierać.

— Poślę, zawołał po chwilce Kasztellan wstając, poślę do PP. Senatorów, z pokłonem dworzanina mojego.

Zadzwonił, wszedł sługa starszy, wydany rozkaz i natychmiast wyjechał w miasto dworzanin do Panów Senatorów.

— A nie sądźcie, rzekł do Jezuity, żeby to gotowość do zgody znaczyć miało. Tak każe uczciwość, a co każe sumienie i honor, to zobaczycie.

Jeszcze z półgodziny rozmawiali, aż spóźniona pora zmusiła O. Brandta ustąpić, bo też i furta klasztorna już się zamykać musiała.

Powróciwszy do klasztoru, prosto do celi Rektorskiéj się udał.

— Niech będzie pochwalony—

— Na wieki.

— A co słychać?

— Kasztellan ani chce przypuścić zgody.

— Dobrze! Jutro sam zobaczę JMX. Biskupa Żmudzkiego! Dobréj nocy Ojcze. Będziecie u mnie jutro rano — potrzebujem się naradzić.

VII.

Posłowie
od Króla Jego Mości.

VII.

Posłowie od Króla Jego Mości.

Wróćmy teraz do Panów Posłów Królewskich i przypatrzmy się bliżéj ich wyborowi; gdy oni na resztę tych smutnych wypadków, największy wpływ mieć mają.

Głową ich był Xiąże Melchior Gedrojć Biskup Żmudzki, człowiek doświadczony, charakteru łagodnego, spokojny, właśnie jak Lew Sapieha na pośrednika stworzony. Używany on był już nieraz, w podobnych temu wypadkach przytrudnych i zawsze zwycięzko wyszedł. Zaraz po śmierci Zygmunta Augusta w roku 1574, będąc jeszcze Kustoszem Katedralnym Wileńskim, jeździł w charakterze poselskim z innemi do Francji, do Henryka. Od Henryka zalecony Papieżowi na Biskupstwo Żmudzkie; nominowany Biskupem i łacno od Żmudzi za listy installacyjnemi Papiéża przyjęty.— Zjawił był się jakiś współzawodnik Woroniecki Proboszcz Geranowski, któren także listy jakiemiś poparty, o tę infułę się starał; lecz że nie Żmudzin, i podstępnie wymożonem zaleceniem posła Królewskiego popiérał się tylko, odpadł od spodziewanego Biskupstwa, na którém Xiąże Gedrojć się utrzymał.—Kilka razy potém Biskup kommissarstwa różne sprawiał, naznaczony w r. 1580, na Trybunał fiskalny Wileński i w r. 1600, na medjatora między Chodkiewiczami a Radziwiłłami. Pobożny,

wielki Jezuickiego Zakonu protektor; pod jego wpływem zostawał. Łacno było domyśléć się, jaką miał grać rolę tutaj i jakiemu stronnictwu sprzyjał widocznie.

Marszałek Wielki Litewski, Krzysztof Dorohostajski, potomek Moniwidów, przedtém Stolnik, Marszałek Nadworny, Starosta Wołkowyski, Mścibowski, Szereszowski; mężny wojak, rębacz i sławny Koniarz; spowinowacony z Radziwiłłami i Chodkiewiczami, zapewne dla tego właśnie wybrany był przez Króla na pośrednika między niemi. Miał bowiem za sobą Zofję córkę Mikołaja Radziwiłła Wojewody Nowogródzkiego, po Chodkiewiczu Jerzym Staroście Żmudzkim, wdowę. To mu do obódwu domów dawało przystęp swobodny, jako kolligatowi. Zresztą nie był to człowiek na pośrednika stworzony, owszem żołnierz ciałem i duszą, otwarty, rubaszny, odważny i zaprzątniony końmi i sztuką wojenną, xięgami i mysliwstwem; nie zdał się tam gdzie potrzeba było, więcéj przebiegłości, rachunku; niż otwartości i męztwa. Stał on w liczbie pośredników, jakeśmy już rze-

kli, z powodu familijnych swych związków, które go zbliżały do obódwóch stronnictw. W materjach religijnych obojętny prawie, nachylał się w duszy ku reformie.

Jan Zawisza dawniej Wojewoda Mścisławski, potém Witebski, gorliwy Katolik, zręczny i wytrawny człowiek, życie swe spędził na kommissarstwach; już to rozgraniczając Kurlandję od Bracławskiego, już obiérając na pograniczu sposobne na fortecę miejsce, już na korrekturach różnych i t. d.

Znał on doskonale ludzi i rzeczy, wiedział jak gdzie postąpić należało, umiał w rachunek kłaść słabości ludzkie i pobłażać im, gdy tego było potrzeba.

Brat jego Jędrzéj Podskarbi Litewski równie gorliwy Katolik, jak poprzedzający, równie zręczny i wytrawny. Na nich to dwóch, cała nadzieja dobrego skutku poselstwa leżała, któremu tylko za przewodnika dodany Dorohostajski, dla powagi Gedrojć. Ani piérwszy jednak, ani drugi, nie mieli być czynni w téj sprawie, nie potrafiliby. Wszystko leżało na Zawiszach, i jakkolwiek głos mieć

mogli i Biskup i Marszałek, nie wiele po nich spodziéwać się było można.

Biskup Żmudzki, stanął przyjechawszy w dworku swoim pod Zamkiem, Dorohostajski zajął kwatérę w Kardynalij, kędy dla niego wcześnie ją zgotowano, a Zawiszowie w kamienicę swą na Bakszcie zajechali.

Nazajutrz zaraz rano, od Posłów i do Posłów konni i piesi biegać zaczęli, kolassy i poczty przesuwały się tam i sam po ulicach. Niesiono powitania, życzenia, rady — o sprawie saméj słowa jeszcze nie wyrzeczono. — Raniéj nad wszystkich udał się pod Zamek Ojciec Garsias Alabianus, już to aby wszystkich uprzedzić, już aby nie być widzianym, chociaż postrzeżony mógł się był łacno tłómaczyć, znaną skłonnością Biskupa dla Zakonu i obowiązkami jakie Jezuici dla Pastérza mieli.

Nie zastał już doma Biskupa Rektor, pobożny starzec, udał się był na mszą do Katedralnego Kościoła, o staje tylko położonego. Poszedł i tam za nim Rektor, aby go piérwszy wychodzącego powitał; lecz spotkał już na progu.

Biskup był to siwy, blizko osiémdziesiątletni starzec, rzeźwy jeszcze i rumiany, od którego bielejących włosów, zdrowy rumieniec dziwnie odbijał. Wiek nie przycisnął go był widocznie, ledwie trochę pochylił i pomarszczył lice. Oczy siwe świeciły jeszcze z pod nawisłych brew ogniem wyszafowanéj młodości, usta rumiane uśmiéchały się łagodnie; w wyrazie twarzy całéj znać było dobroduszność, i swobodę duszy. Prowadzili go pod ręce dwóch Xięży Kanoników Żmudzkich, jeden Wikarjusz niósł za nim mszalik i brewiarz. Rektor powitał go w krużganku kościelnym i w milczeniu przeprowadził do domku.

Tu dopiéro, gdy Xiąże usiadł w swojém krześle, a Xięża oddalili się, poufalsza zawiązała się rozmowa.

— Wasza Pastérska Mość, rzekł Rektor— przybywacie tu w cale chrześcijańskiéj missji, w posłannictwie zgody, z rószczką oliwną — O! jak się ona nam zmęczonym wojną i niepokojem przydała, jak jéj gorąco pragniemy! —

— Któżby zgody i pokoju nie pragnął, odpowiedział Biskup—byleby tylko do osiągnienia były.

Spójrzał na Rektora; O. Garsias potrząsnął głową, spuścił oczy.

— Jak sądzicie Ojcze, da się tu co zrobić?

— Powaga listów Królewskich wielka, rzekł Rektor, wybór pośredników wysokie światło J. K. Mości okazuje. Mógłże im lepszego obrać wodza nad W. Xiążęcą Mość? Ale —

— Jest, ale —

— Jak we wszystkich rzeczach ludzkich.

— Trudności! mało nadziei?

— Trudności wielkie, jeśli wolno o tém przed W. X. Mością mówić, nadzieja zawsze w Bogu!

— Sądzicież, iż którakolwiek strona skłania się więcéj do zgody?

—Obie mocno rozjątrzone, obie nienawiścią ku sobie pałające — Jeśli kto, to Chodkiewicze dalecy od zgody! P. Kasztellan Wileński obrażony do żywego, Jan Karol Starosta Żmudzki dumny i niedarowujący uraz nigdy

i nikomu, pomimo wielkich cnót chrześcjańskich, wielkiéj pobożności, niełatwy do przejednania.

— A Radziwiłłowie? spytał Biskup.

— Wojewodę znają wszyscy, rzekł Rektor, dusza nieugięta, duma niepowściągniona; względem Króla i władzy Królewskiéj, najgorzéj usposobiony. Czuje się silnym i mało dba o wyższą władzę, chociaż ją do czasu tylko może przez przyzwoitość szanować zdaje się. Nieprzyjaciel Katolików największy, niewyrozumiały, popędliwy — Możnali spodziewać się nakłonienia do zgody takiego człowieka; możnali myśléć pobratać z Chodkiewiczami, gdy świéżo przeciw nim i całemu katolickiemu w kraju stronnictwu pisał się do téj konfederacji?

— Prawda, rzekł wzdychając Biskup, smutna prawda! Ale Bóg z niemi, nie myślémy ich godzić; to zapewne niepodobna doprowadzić do skutku, pragniem tylko i mamy rozkazanie Królewskie, zapobiédz wojnie bezprzykładnéj między swemi, rozlewowi krwi

haniebnemu, gorszącemu, między braćmi! Niechby to zdali na Sejm, na Króla!

— Wasza Pastérska Mość, wiesz o wojennych przygotowaniach.

— Słyszałem i wzdrygam się rzekł Biskup. *horrenda!* Blizko sześć tysięcy wojska zebrano dla jednego sporu, gdy dla obrony kraju połowy tego wyprosić by tysiącznemi uniwersały trudno!

— I Panowie Chodkiewicze, przystojną też ilość mają i dobrego żołnierza. Potrafią się opiérać.

— Bodajby tego nie było potrzeba. Mam zawsze nadzieję, iż pomimo groźnéj postawy stron obu, do zwarcia się nie przyjdzie. Pojmą Radziwiłłowie ohydę napaści, ohydę takiego przykładu, pomiarkują, jakimby okrzykiem zgrozy przyjął kraj cały wieść o wojnie!

— Alež zewsząd ciągną wojska?

— Nic to jeszcze Ojcze, rzekł Biskup. Kilka dni wiele odmienić może; w Bogu nadzieja i w tém, że to piérwszy przykład, że nim się targnie brat na brata, zadrżéć musi w sercu swojém jak Kaim. Przed samém starciem się,

otworzyć się mogą serca i zachwiać męztwo; do ostatka potrzeba mieć nadzieję!

— Nadzieję zupełnéj zgody? spytał Garsias, zupełnéj zgody z heretyki?

— Pojednania w téj sprawie tylko i zawieszenia jéj, *ad decisionem Regiam*, odpowiedział Biskup. Co się tycze zgody z heretyki, to rzecz druga.

— Lecz pomięszały się tu tak sprawy, odrzekł Rektor, iż je trudno rozeznać. Stronnictwo Wojewody—konfederacja cała, Chodkiewiczów prawowierni Katolicy. Nie o Zofję tu Słucką chodzi, ale o swobodę sumienia.

— Tego, Ojcze, my, ani gdyby i sam Król tu przybył nawet, nie potrafiémy zatrzeć i unikczemnić. Zbyt na nieszczęście głęboko wrosło złe ziarno i chwasty poszły széroko, nie wyplenisz ich tak skoro —Powierzmy o tém staranie Bogu!

Walczyć o swobodę sumienia, jak oni zowią, czyli prawo gorszenia i psowania ludzi, będą jeszcze i będą długo róznowiercy. Nasza rzecz nie dać się w krwawą walkę, sporom przerodzić.

— Bodajby choć to dostąpioném było westchnąwszy rzekł Rektor! Kiedyż W. P. Mość, rozpoczniecie dzieło swe?

— Jak skoro spoczniém nieco. Samym nam piłno, na sercu leży święty obowiązek. Zdaje się jednak iż, do przybycia Jana Karola Starosty Żmudzkiego, kroku naprzód postąpić nie można. On jest prawą ręką Kasztellana, to coby się tu bez niego zrobiło, odrabiaćby się potém mogło. A nawet wątpię, czyli Kasztellan, przystąpiłby do traktacji, związany umową, z synowcami, iż bez nich począć nic niéma. Tym czasem rozpatrzemy, rozsłuchamy się, namyślim.

Ojciec Garsias spójrzał w okno i ujrzawszy wysoko już podeszłe słońce, pożegnał Biskupa, któren wziął różaniec w ręce i znowu modlić się zaczął.

Gdy się to dzieje w dworze Biskupa Żmudzkiego pod Zamkiem, Marszałek Litewski Dorohostajski, śniada w Kardynalij z Wojewodą sam na sam.

Przed niémi srebrna z polewką winną wazka i kubki złociste. Oni naprzeciw siebie w krze-

słach — Wojewoda zmarszczony, zamyślony, Marszałek jak w całém życiu swobodny, wesół, rubaszny. Po postawie jego poznasz wojaka, któren inaczéj życia nie rozumie, nie pojmuje, tylko ruchem, działaniem, czynnością nieustanną.. Wysoki, silnie zbudowany, trochę łysy, rumiany, z oczyma niebieskiémi, rzymskim nosem, usty nieco szérokiémi, czołem podniesionėm; Dorohostajski ma wszystkie ruchy żołniérza, wyraz odwagi nieustraszonéj w twarzy.

— Więceście przyjechali gwałtem nas pogodzić? rzekł Radziwiłł po długiéj rozmowie.

— Gwałtem nie gwałtem, ale pogodzić koniecznie, zawołał Dorohostajski zaciérając czuba nastrzępionego na wierzchołku głowy. Bo, kiego djabła zréć się braciom, synom jednéj matki i przeléwać krew chrześcjańską, gdy niewierni i panowie sąsiedzi proszą się aby ich szabla nasza nauczyła rozumu! Taćby to, cały świat wskazywał nas palcami, jak głupców, z pozwoleniem, taćby to raz wszczęte zamięszanie, obudziło uwagę panów sąsiadów.

Nie omieszkaliby skorzystać z domowéj wojny i wybyście się tu bili, o Xiężnę, a oniby Xięztwa wasze pobrali tym czasem. A jakby się rozigrali, gotowiby i wasz Słuck z Kopylem do taszki schować, i Birże i tam daléj i i ten sam Kopyś, co tu tylego licha nawarzył. Nie dajcie z siebie obcym żartować, plasnijcie tylko w dłonie, i jakoś się to ułoży. Wy sobie Ewangelicy, oni sobie Katolicy, wy swoją drogą, oni swoją, a jak przyjdzie na wroga, do kupy wszyscy i razem.

— Ślicznie prawisz, odrzekł Wojewoda, szkoda tylko, że to są mary próżne. Gdybyż to można im wmówić, aby sobie papiści papistami, a my po swojemu być mogli! Ale nie, chce się im obłąkanych nawracać! tak prawią, gdy tym czasem, sami ślepi bałwochwalstwa swojego nie widzą.—Ja, nie jestem tak daleki tak trudny do zgody, jakim mnie nieprzyjaciele mianują. Wiele mam uraz do PP. Chodkiewiczów, ale na słuszne warunki zgody, podam rękę, niech tylko uczynią czego ja chcę!

— A toć niewielka sztuka! Wojewodo, każdy tak się zgodzi! I Marszałek zaryhotał

wesoło na całe gardło. Chciałbyś żeby nic nie ustąpić i mieć zgodę w kieszeni!

— Ja nic ustąpić nie mogę!

— Takim sposobem nic Xiąże nie zrobisz. Trochę z téj strony, trochę z tamtéj, tu obciąć, tam obciąć, to się sprządz możecie. Wymagać zaś, aby ktoś wszystkiego, a Wy nic nie ustąpili, to znowu zawiele, Wojewodo. Chybabyście z nożem na gardle Chodkiewiczom stanęli, toby taki absolutny warunek przyjąć mogli. Ale to potém o tém. Teraz ja u W. X. Mości, nie poseł J. K. Mości, ale dobry druh i gość, dajmy tym waśniom pokój! Musicie się pogodzić. Wiérzcie mi drzéć się dobrze to tylko z wrogiem, a ze swemi podąsawszy się, naprychawszy, nabrykawszy, zawsze najlepiéj kończyć zgodą. I potrzeba, potrzeba koniecznie. I tak będzie.

— Łatwy z WMości Baronie prorok.

— A z W. X. Mości ciężki niedowiarek. Wiérzcie tylko w zgodę, a będzie zgoda. I czego, do tysiąc koni, macie się szarpać? Hm? O Xiężnę Zofję abo raczéj o jéj Xięztwa? Że dobrego stada Xiężna to pewna, że warto,

aby sobie trochę włosów narwali dla niéj, ani słowa, ale żeby znów od czubów przyszło, do dobycia szabel i zapisywania wojsk, jakby na zawojowanie prowincji! Wybaczajcie! Dalipan, żeby miała jeszcze z jedno Xięztwo i jeszcze jedną mitrę starożytną! tyle poczciwéj krwi dla kawałka ziemi i jednéj białogłowy, (jakich z przeproszeniem tysiące po białym świecie) tyle krwi i hałasu nie warto! nie warto!

— O! jakże to WMPanie Marszałku lekko nas szanujesz!

— Wybacz W. X. Mość, wojakowi staremu, niezwykłemu do waszéj polityki! U mnie co w myśli, to i na języku, cała prawda. Całą pierś nastawiam na wojnie nieprzyjacielowi, całą duszę pod przyjacioły wylewam. A na com barwić i stroić to, co i bez stroju dobre? Nie urażajcie się W. X. Mość.

— W głowie ani w sercu nie postała obraza, odpowiedział Wojewoda, tak mi to tylko przykrém było, iż WMość lekko nasz spór uważacie—Ale wola Wasza, każdy po swojemu widzi.

— I Wy sami Xiąże Wojewodo dodał Marszałek, chłodną krwią wziąwszy na rozwagę całą rzecz przyznacie mi że dalipan, bić się niéma o co!

Wojewoda zamilkł, P. Marszałek poszedł do okna. Po chwilce popatrzywszy, ruszył się z pokoju i zawołał:

— Prawdziwéj krwi tureckiéj! prawdziwy Turek!

— Co? kto? spytał Wojewoda podnosząc się —

— Najrzałem turka, siwaka — oto tu u wrót W. X. Mości, muszę wysłać na zwiady czyj.

Wojewoda wyjrzał także oknem.

— Wasz własny, rzekł spokojnie.

— Wasz Wojewodo?

— Nie, Wasz Panie Marszałku!

— Mój! Nie mam takiego! mylicie się, ani tu, ani w mojéj stajni Dorohostajskiéj i stadninie, podobnego niéma. Są innéj maści, i innéj krwi.

— Ale to Wasz koń, dorzucił Wojewoda.

— Juścić ja to, z przeproszeniem, wiém lepiéj, że nie mój odparł, marszałek.

— Wybaczcie, to Wasz własny!

— Żarty stroicie Wojewodo!

— Szczérze, Wasz! bo go wam ofiaruję! A juścić przyjmiecie?

Marszałek zadumał się.

— Jak będzie pokój i zgoda, a ja przestanę być posłem J. K. Mości do Was, przyjmę ten piękny podarek. Teraz — jeszczeby głupcy gadali, żeście mnie podkupili.

— Jednym koniem! rzekł smiéjąc się Wojewoda. Każcie go poprowadzić do Waszéj stajni. To mizerja i oczu nawet nie zwróci! Nam miło takiemu jak Wy miłośnikowi koni, zrobić podarek z prawdziwego turka.

Dorotostajski wziął za czapkę i miał się do drzwi.

— Serdeczne dzięki! pozwólcież mi go zaraz obmacać, bo mi już aż swędzi, pójść obejrzéć siwosza, i daléj nie wytrzymam.

Wojewoda zawołał Koniuszego, a Marszałek z nim razem szybko zszedł ze wschodów, zapomniawszy w téj chwili o wszystkiém, o listach królewskich, swojém poselstwie i zajściu Chodkiewiczów z Radziwiłłami.

My spójrzym jeszcze, co się dzieje u PP. Zawiszów, w ich dworze na Bakszcie.

Dwór ten murowany, niewielki, do oberwanéj góry przyczepiony, niebielony, z obu stron do murów miejskich przytykający; wyglądał teraz na gospodę. Przed nim stały wozy, w części wyładowane, w części jeszcze pełne, kręciła się liczna służba, któréj ciasno było we dworze samym. Konie, których szczupłe nie pomieściły stajnie, pasły się nakryte kapami, przy podróżnych za wozami przypiętych płóciennych żłobach. Ogień naniecony był nawet przy murze w podwórku, a wkoło siedzieli i leżeli woźnice i pachołki.

Porządniejszych cztéry izby na górze zajmowali bracia, PP. Jan i Jędrzéj Zawiszowie. Szczupło im tu było i dość niewygodnie, chociaż zwyczajem krajowym, wszystko z sobą wiozący, mieli czém i podłogi wysłać i mury zawiesić.

Wilgotne jeszcze mury, poczepione na nich osłoniły makaty, wyrabiane w bogate ze złotem i srébrem wzory, podłogę z cegieł tylko ułożoną, zasłały grube, twarde kobierce

tureckie i perskie. Na ławach ciesielskiej roboty rozwieszono także kilimki różnobarwne a stoły sosnowe proste, aż do dołu spadające sukna szyte zakrywały. Tym sposobem izby przed chwilą nagie, teraz zdawały się ozdobne, bo całe osłonięte były od sufitu począwszy, któren jedyny tylko swiadczył, czém to pomieszkanie wczoraj jeszcze było. W dwóch izbach narożnych usłano łoża Panów braci. Na prawo starszy Jan na lewo Jędrzéj i oba spoczywali na złoconych zydlach przysłanych garścią siana i skórą niedzwiedzią. Skórzane poduszki pódgłową, futrzana opona na wiérzch.

W kominach i piecach wrżał nieustanny ogień, bardzo potrzebny w ochłodzoném domóstwie. Średnie dwie izby przeznaczone były, jedna na jadalną druga dla przyjęcia gościa. Ta ostatnia największa.

Wschodzące słońce uderzyło w okna dworu na Bakszcie, i Wojewoda z Podskarbim już byli na nogach, już się głośno modlili, poczynając dzień jak zwykle dawniéj bywało, od Godzinek i pobożnych pieśni. Niektórzy

z starszych sług, także z różańcem w ręku, w dolnych izbach pierwociny dnia P. Bogu oddawali. Tylko pachołkowie i niższa służba, raniéj i króciéj pomodliwszy się, na nogach już była. Minęła godzina modlitwy, Podskarbi poszedł do brata; zastawiono sniadanie, po którém udać się mieli oba do kościoła Bernardyńskiego na mszą. Tu taka przy polewce, ciągnęła się rozmowa.

—Miłościwy panie bracie, aby tylko nie darmo.

A choćby i darmo, kiedy tak się J. K. Mości podobało nas do tego wezwać. Będziemy czynili co podołamy, a reszta w woli Bożéj— rzekł starszy Jan Wojedoda Witebski.

Przybiegał tu wczora znajomy nam ojciec Brizius Jezuita, W. Mość już spałeś pono, alboś się zaparł na modlitwy, bo już było poźno; jam go sam przyjął.

—Mówił co?

—Wiele i strasznych rzeczy a wedle niego, ani podobieństwa niéma, aby tu się co zrobiło. Rozjątrzenie w najwyższém stopniu, wojna nieuchronna.

Jan potrząsł głową. Wtém wszedł dworzanin oznajmując Pana Krzysztofa Zenowicza Wojewodę Brzeskiego.

— Tak rano! rzekł Jędrzéj; i wyszedł na spotkanie.

Wtoczył się otyły, rumiany, sapiący, na lasce z złocistą gałką podparty, Pan Wojewoda Brzeski.

Na twarzy jego widać było pewien rodzaj pomięszania, któren szkodził ogólnemu wyrazowi fizjonomji, malującéj człowieka gadatliwego, ruchawego, czynnego. Takim był w istocie Wojewoda, lecz ranne odwiedziny i myśl jak one przyjęte i uważane będą (gdyż go powszechnie znano jako wielkiego partyzanta Radziwiłłów) omroczyły zawsze wesołe oblicze, na ten raz tylko osłonione niezwykłém pomięszaniem.

Zaledwie we drzwiach się ukazał Wojewoda, już usta otworzył; zaledwie mówić począł, już ufny w wymowę swoją, odzyskał zupełną swobodę, przytomność i wesołość.

—Witajcie Posłowie zgody i pokoju! zawołał, witajcie pożądani goście w stolicy;

Otwartém sercem i rękoma przyjmujemy Was, oczekiwaliśmy jak kanie deszczu! Witajcie Panie Wojewodo Witebski i Wy Panie Podskarbi—Jakże się podróżowało, jak się dojechało, jak się spało!

— Wyśmienicie! odpowiedzieli bracia.

— Pilno mi było WMMościów powitać, i dla tego chociaż zaledwie ósma może na półzégarzu i godzina nie do odwiedzin, pośpieszyłem piérwszy miłych gości zobaczyć.

— Wielceśmy wdzięczni? Siadajcież! Panie Wojewodo!

— Choćbyście nie prosili siądę, bom się zadychał idąc po schodkach—Co tam nowego w Warszawie, Król JMość?

— Zdrów dzięki Bogu.

— Pan Maciejowski *in partibus* Biskup Wileński?

— Już się zrzekł Biskupstwa —

— W nadziei Krakowskiego —

— Być może.

— Dobra zamiana! No! a będzie li tu u nas zgoda?

— Spodziéwamy się — rzekł Jędrzéj Zawisza—listy Królewskie —

— Wielce je wszyscy szanują — odpowiedział Zenowicz, ale mało kto ich słucha! To biéda!

— Większa nadzieja w perswazjach Waszych, w pośrednictwie przyjaciół. Chodkiewicze szaleją. Co im się porywać, jak brać się przeciw Radziwiłłom! Gdzie siły, gdzie bogactwa odpowiednie! Ruina dla nich, ruina dla kraju, przykład fatalny! nieszczęśliwy, okropny!

— Ależ oni nic nie poczynają?

— Na co było łamać umowy!

— Kiedy umowy przeciwne prawu?

— Prawo da się nagiąć róznie—Nie piérwszy to przykład. Na cóż było obiecywać, kiedy to było bezprawném.

— W tém ich wina; ale i PP. Radziwiłłowie, poco dowiedli rozjątrzeniem, processem, do takich ostateczności?

— Teraz niéma sposobu innego na dobry koniec, chyba niedopuścić wojny. Wojna ostateczną zgubą dla kraju! wołał P. Zeno-

wicz. Już pogodzą się czy nie, byleby się nie pobili tylko!

— Zdaje się, że do tego przyjść nie może, rzekł Wojewoda Witebski; na toć my tu przyjechali, aby temu zapobiedz; i spodziewamy się, iż zacni poważnieni pomiarkują wczas, co za wagi krok, wojna domowa. Upamiętają ich listy Królewskie i przyjaciół perswazje.

— Daj Boże! odpowiedział wzdychając Zenowicz! a westchnienie jego i uczuciem i wysokiemi wschodami Baksztowskiego dworu tłumaczyć było można.

VIII.

Przygotowania wojenne.

Xiężna.

VIII.

Przygotowania wojenne. Xiężna.

Dnia piérwszego Lutego, okolice Wilna i miasto same, przybrało postawę zupełnie wojenną; ktoby zdaleka tu przyjeżdżał i okoliczności spełna nie wiedział, po-

myślałby że te hufce gotują się odeprzéć najazd niewiernych pogan, lub napad sąsiedniéj Rusi. Po przedmieściach snuło się żołnierstwo przybyłe tłumami, powiéwały rozwite proporce, hasały wyrywające się konie, przechodzili różnobarwnie ubrani, różnemi języki mówiący, żołdacy z Podola, z Kurlandji, z Litwy, z Rusi, z Polski.

W samém mieście wszystkie niemal gospody zajmowali starsi, Panowie Rotmistrze, Półkownicy, towarzysze.—Szczękały szable, huczały bębny, słychać było śpiéwki wojskowe dodające ducha pospolitemu ludowi. Ale na ten raz śpiéwający, musieli je dziwacznie wykręcać, aby zastosować do okoliczności. Mnóstwo bowiem pieśni tego rodzaju, klęło Turka, łajało Moskwę; ale żadnéj gotowéj nie było, przeciw—Chodkiewiczom i braciom będącym przy nich. Duch więc prowincji tylko, wysilał się, w obelżywych dwuwiérszowych śpiéwkach przeciw Żmudzi, Litwinom, Mazurom, Rusi i t. p. I pozór tego wojska, którego główny obóz był na Łukiszkach, a reszta półków, rozsiedlona po okolicy i przedmie-

ściach, pozór jego dziwny był. Doborny lud, ale każdy z innego kąta, każdy w innym stroju, z inną bronią i co największa z innym duchem. Było bowiem i Katolików w wojsku Radziwiłłowskiém niemało. Ci szli cicho, z spuszczonémi głowy, sami nie wiedząc, jak sumienie z interesem pogodzić; gdy towarzysze broni, zabiérali się do wyprawy; uważając ją jako sprawę konfederacji, jako pomstę na katolikach, za ich ucisk na różnowierców wywiérany.

Wojsko Radziwiłłowskie sklejone z różnobarwnych tłumów, którego jednak główną podstawą było, blizko cztérech tysięcy Rusi, nadesłanéj przez XX. Ostrogskich; sciągało się w okolice, przedmieścia i do samego Wilna, nie razem, ale częściowo i różnoczasowo, ostatnich dni Stycznia i piérwszych Lutego. Zaludniło się, zakwitło i ożyło miasto którego tylko najwłaściwsi mieszkańcy z trwogi i obawy pochowali się ustępując z ulic i rynków szumiącym przybylcom. Magistrat i Rada po niefortunném owém poselstwie do Wojewody, nie śmieli już występować raz drugi. Dozwo-

lili wojsku zajmować gospody i słowa nie rzekli. Słuszna jednak wyznać, że odłożywszy na stronę nadużycia nieuchronne, umyślnych przynajmniéj nie było i Wojewoda hojnie żywiący zgromadzoną tłuszczę, nakazał żołdakom, jak najspokojniéj i najłagodniéj z mieszkańcami się obchodzić. — Niewiele jednak zaufania miał ogół, w obietnicach pokoju i zapewnieniach nienaruszania własności, Kupcy, Katolicy mianowicie, z wielkiégo strachu pozamykali sklepy i kramy, pochowali towary, przygotowali ciężkie do drzwi swoich zapory, oczekując jak wybawicieli Chodkiewiczowskich, których dotąd nie było, chociaż codziennie ich się spodziéwano. Tym ostatnim w samém mieście i w blizkości kamienicy Starosty Żmudzkiego, rozpisane i najęte kwatéry, które tém łatwiéj ustąpiono, że żołniérze Katoliccy, stanowić mieli niejako załogę przeciw heretykom, strasznym dla mieszkańców.

W Chodkiewiczowskiéj kamienicy przygotowania wojenne ukończone już były, strzelnice wyrąbane, bramy umocnione, słabe mury

podwojone, okna zabite, miejsce uczynione dla armat, oczyszczony plac dla żołniérza, mającego po większéj części pomieścić się wewnątrz. Pomyślano nawet o skupieniu zapasów żywności, o zapewnieniu wody, na przypadek oblężenia, gdyż szturm prawie był niepodobny w ścieśnionéj ulicy. P. Barbier obejrzawszy wszystko dokoła, decydował, iż ze spodziéwaną załogą, bronić się można Radziwiłłowskim, jak długo zapasów żywności i amunicji stanie i śmiejąc się dodawał, że z wiérzchołka kamienicy, wystrzela jak wróbli do jednego wszystkich protestantów, którzy się tylko pomkną bliżéj.

Całe jednak to przygotowanie, dla tych nawet, którzy je czynili, którzy się z myślą tą oswoili, miało w sobie coś tak dziwnie niezwyczajnego, iż w oczach rozsądnych ludzi, zbliżało się do sennego marzenia. Wypadek to był z rzędu takich, którym współcześni niepomiernie się dziwią, a którego odległa przyszłość nie pojmuje, czasem im wiary nie daje. Gdzieindziéj, nic pospolitszego nad to zapewne, lecz w tém Wilnie, w którego

wnętrznościach, ciągle wrzała mała walka i bój, to nagłe wezbranie tak wielkie, było szczególnością, nie mającą przykładu w dawnych dziejach i zdało się na oko, bez przyczyny ważnéj.—To też, pomimo przygotowań tak wielkich, pomimo widocznéj stopy wojennéj, dwóch stronnictw, wielu jeszcze nie wierzyło i wierzyć nie chciało w wojnę domową.

—Kłócić się mogą, kłócą się zawsze od wieków i kłócić się będą do skończenia świata, a kto wié czy i na Jozefatowéj dolinie, o precedencją nie posporzą; ale żeby bić się mieli—to być nie może; mówili niedowiarkowie.

Dnia trzeciego Lutego oznajmiono Panu Kasztellanowi Wileńskiemu, iż Jan Karol z działami i wojskiem, już jest tylko o jeden dzień drogi od Wilna. Przywiózł tę wiadomość P. Mikołaj Chamiec Marszałek Dworu, przybyły z ulubionym dworzaninem Jana Karola Tomaszem Dąbrową. Kasztellan, ustąpiwszy domu swojego na żołnierzy przybywających, przeniósł się zaraz do kamienicy Chodkiewiczowskiéj na Zamkową—Tu także mie-

ścił się Alexander brat Jana Karola, naówczas jeszcze tylko Starosta Borysowski (poźniéj Wojewoda Trocki). Wreście co było najlepszego pomieszkania oddano Wojewodzie Sandomirskiemu Jerzemu Mniszekowi, któren zaproszony przez Chodkiewiczów, nie odmówił osobistego przybycia, acz bez żadnego pocztu—z kilką tylko dworzan.

Xiężnéj Zofji zmieniono pomieszkanie, usuwając ją dla bezpieczeństwa większego, w sam głąb domu, zkąd już nic prócz wewnętrznego ruchu i przygotowań przestraszających ją niemało, widzieć nie mogła. Łatwo pojąć co się działo z Xiężną dla któréj brak wieści o wypadkach, o okolicznościach, okropnym domysłom i czarnym marzeniom zostawiał szerokie pole. Przy niéj, wkoło niéj wszyscy, wszystko było milczące, przestraszone, na nią wszyscy patrzyli jak na przyczynę złego, sami PP. Chodkiewicze mimowolnie, czuli w sercu niechęć ku sierocie, nad którą tak ciężka była opieka. Najbliższa osoby Xiężnéj, Pani Włodska Ochmistrzyni, kobiéta sztywna, twarda, zimna, i rzą-

dząca się tylko najściśléj danemi rozkazy; słowa pociechy nie wyrzekła nigdy. W czém była powinna, posłuszna, z resztą obojętna i surowa, lękała się na włos przestąpić, danych sobie instrukcij, ceniąc wysoce miejsce i lękając się go utracić. Panny służebne Xiężnéj, młode, przelękłe, a prócz tego oddzielone od niéj, położeniem swém, nie ważyły się być powiérnicami. Ona więc sama jedna zcierpieniem swém, z myślami, z bojaźnią kobiécą w pół, w pół dziecinną, bez pociechy, bez przyjaciela bez wieści o wypadkach, żyła okropném życiem, które na pozór mając wszystkie warunki szczęścia, w istocie było męczarnią.

Zrana modlitwy — samotna po komnacie przechadzka, krótka z Panią Włodską rozmowa, obiad, robota u krosien i znowu modlitwa i długi wieczór i długa noc nieprzespana.

A wśród tego, wszystkie mary wojny, morderstw, zabójstw, przychodziły targać młodém sercem siéroty, wojny która o nią i z jéj przyczyny począć się miała, wojny, która

codzień zdawała się bliższą, groźniéjszą, któréj terminem poczęcia, był dzień urodzin Xiężnéj! Na każdy trzask zamykających się wrót, na każdy chrzęst czyszczonéj zbroi, brzęk pałasza, głośniéjsze wołanie, zdało się Zofji, że idzie ku niéj ta wojna okropna. Widok przyborów wojennych nabawiał ją przestrachem, drżeniem, obłąkaniem; a z okien nowego mieszkania nic innego nad dziedzińce ufortyfikowane i fortyfikujące się, widać nie było. Często wśród nocy, budziła się słysząc stąpanie żołniérzy, odgłosy ozywającéj się straży i z bijącém sercem, cisnąc krzyż matki do piersi, czekała godziny całe, wystrzału, któren (zdało się biédnéj) co chwila miał się dać słyszéć.

W takiéj to niepewności i strachu, żyła Xiężna; a kiedy podarkiem, słodkiemi słowy, chciała na Ochmistrzyni wymusić wiadomość o rzeczach, o wypadkach, najczęściéj tylko dowiadywała się dzikich wieści o Radziwiłłach, które ją drażniły, którym wiérzyć nie mogła; bo oczéwiście wymyślone były i skierowane, aby zachwiać w niéj znaną skłon-

ność w dziecinnych latach powziętą ku Xięciu Januszowi.

Kasztellan Wileński rzadko się pokazywał u Xiężnéj; po ostatniéj rozmowie, ledwie parę razy widział ją i to krótko. Dopiéro dnia trzeciego Lutego, kazał się oznajmić nad wieczorem.

Xiężna oczekiwała go niespokojna, modląc się w duchu, i nie wiedząc co z sobą pocznie. — Po półgodzinném przeciągnioném oczekiwaniu, ukazał się Kasztellan, twarz jego była wypogodzona, oblicze swobodne, jak gdyby w wilją zgody, nie dniem przed wojną. Powitał Xiężnę czule, troskliwie dowiadując się o zdrowie, którego niedostatek widoczny był na twarzy.

Zofja odzyskała przytomność i odwagę.

— Stryju, odpowiedziała, nie pytać mnie czym zdrowa, ale czy jeszcze żyję potrzeba?

— Jakto? dla czego? przerwał Kasztellan jestże Wam tak źle na świecie!

— Przynajmiéj ciężko, o! ciężko okropnie. Patrzcie sami, na co oczom kobiécym, codzień, co godzina kazano poglądać, o czém

myślćć muszę. Dokoła mnie wojna, oręże, postrach! Gdzie spójrzę żołniérze, wojsko, działa, co posłyszę to straszne i przerażające! Powiedzcie mi Stryju, jakże mogę być szczęśliwą, spokojną, jak nie mam niszczéć? A gdy pomyslę jeszcze, żem temu wszystkiemu przyczyną — ja! A! Stryju, to nad siły dziecięcia! nad siły moje! Na Boga. —

— Ależ Xiężno, nie lękajcie się tak bardzo. Nic Wam się nie stanie!

— Alboż ja się lękam o siebie? odpowiedziała Zofja. Ale ta wojna, ta wojna!

— Jeszcze się nie poczęła i my jéj poczynać pewnie nie będziemy.

— Dla czegoż takie uzbrojenia?

— Na przypadek — dla obrony, odpowiedział Kasztellan. Widząc opasujące dokoła Wilno wojska Radziwiłłowskie, trudno abyśmy i my nie pomyśléli o sobie.

Xiężna zamilkła, potarła ręką po czole i spuściła oczy.

— Pamiętacie ostatnią naszą rozmowę, rzekł po chwili Kasztellan.

— Nie mogła mi wyjść z pamięci, cicho

odpowiedziała Xiężna — i jeśli chcecie ją odnowić. —

— Nie myślę, ani Was pytać, ani Was prosić, ani przynaglać, do niczego, chcę Was tylko jeszcze raz, w interessie sumienia Waszego objaśnić. — Jeśli do Was przyjdzie, wszystko słowem jedném rozwiązać, nie chcę już wiedzieć, co wyrzeczecie. Wola Wasza Xiężno, macie słuszne lata, macie poznanie, nie jesteście już dziecięciem — Robcie co i jak się Wam podoba. Dotąd jednak jam Wasz opiekun, a piérwsze opiekuna staranie, o sumienie; piérwsza myśl być powinna uchronić od grzechu. Przyjmijcie więc moją przestrogę. Małżeństwo projektowane z Xięciem Januszem, bez osobnego zezwolenia głowy kościoła naszego, Papiéża, które się daje bez błogosławieństwa (zważajcie to dobrze) małżeństwo to, jest grzechem, jest prawami kościelnemi wzbronioném i prawem naszém Litewskiém uznaném za nieważne. Słyszeliście zapewne już o tém, ja dziś tylko, mam za obowiązek sumienia, powtórzyć Wam to raz jeszcze i przypomnieć. Nie wymagam

od Was nic, nie pytam o nic; lecz zechcecież, bez zezwolenia Papiézkiego, gdyby przyszło do jakichkolwiek bądź nieprzewidzianych układów, zechcecież zawrzéć te śluby?

Nie zastanawiając się Xiężna powstała i odpowiedziała.

— Bez zezwolenia, nigdy — Zezwolenie jednak, dodała zaraz, może być dane? Kasztellan mimowolnie wzruszył ramionami —

— Zezwolenie, bez błogosławieństwa. Xiężna spuściła głowę—Ktoś do drzwi zapukał.

— Oto jest Wielebny Ojciec, Weljamin Rutski Archimandryta Monastéru Ś. Trójcy, ten Was dostateczniéj objaśni i com mówił potwierdzi.

Oczy Xiężnéj na otwiérające się w téj chwili drzwi obróciły. Wsunął się niémi, bladéj twarzy, pokornego układu, w sukni Zakonu Ś. Bazylego Wielkiego, Mnich. Był to sławny Weljamin Rutski.

Xiężna podeszła ku niemu i pocałowała go w rękę, on ją pobłogosławił w milczeniu; potém usiadł.

— Wezwałem Was Ojcze, rzekł zaraz Ka-

sztellan, abyście potwierdzili słowa moje przed Xiężną. Małżeństwo z X. Januszem, nie jestli przeciw wyraźnym prawom i zakazowi Kościoła dla blizkiego pokrewieństwa?

— Tak jest, odpowiedział, i zawierający takie śluby, podpadają surowéj karze Kościoła; sam ślub choćby go dawał duchowny najwyższego stopnia, nie ważny.

— Lecz—Xiężna poczęła i nie śmiała dokończyć.

— Lecz w pewnych przypadkach, odgadując myśl dokończył Weljamin Ruski, Kościół dozwala takich małżeństw, chociaż ich nie błogosławi.

— Nie błogosławi! powtórzyła Xiężna i oczy utopiła w ziemię.

Jeszcze kilka słów powiedzieli Kasztellan i Archimandryta, ale Zofja więcéj oczów nie podniosła, nie spójrzała, nie wyrzekła słowa— pogrążona w smutnych myślach, milczącém ucałowaniem ręki Kasztellana, ukłonem zimnym Archimandrycie, pożegnała odchodzących.

Zaledwie drzwi się za niémi zamknęły, upadła na krzesło i płakać zaczęła rzewnie —

— A więc nigdy razem, nigdy z błogosławieństwem Bożém, nigdy nie będziem szczęśliwi! I gdyby nas kiedy nawet los zbliżył, połączył, nasze przywiązanie nie będzie miłém Bogu; każdą chwilę zatruje wyobrażenie okropne niebłogosławieństwa! — Tak, rzucili sierotę, dozwolili umiłować tego, którego wskazali jéj od lat dziecinnych za męża; a teraz — teraz powiadają, że skłonność jest grzechem, małżeństwo świętokradztwem —

I upadła na kolana, goręco zaczęła się modlić!

Powstała potém z suchemi oczyma, spokojniéjszą twarzą i pocichu wyrzekła.

— Tak Bóg chciał, niech będzie Imie Jego błogosławione — Nie długo mi cierpieć, pójdę do ciebie matko, któréj nie znałam, ojcze, któregom nie widziała, pójdę do was!

IX.

Starosta Żmudzki w Wilnie.

IX.

Starosta Żmudzki w Wilnie.

Dnia czwartego Lutego, przyjechał nowy goniec do Wilna, oznajmujący Kasztellanowi, o zbliżaniu się wojsk pod wodzą Jana Karola; które już w mili tylko od

miasta spoczywały i tegoż dnia wejść miały jeszcze. Rozeszła się o tém wieść prędko i poruszone nią tłumy ciekawych posunęły się na trakt Miednicki, którym Jan Karol miał przybyć. Radziwiłłowscy także posłali tam swoich, którzy wmięszawszy się w ciżbę ludu, mieli uważać liczbę i postawę żołniérza, ilość armat i smigownic, aby o nich donieść szczegółowie Xięciu Wojewodzie. Od południa już widać było niezwykły ruch w mieście; ciekawsi wdrapywali się na dachy kamienic, na mury i wieże, aby prędzéj dójrzéć i oznajmić o przybywającém wojsku. Wieża Ratuszowa pełna była widzów na wszystkich galerjach, dzwonnice kościelne na każdém piętrze, najeżone głowami, zwróconemi na Miednicki gościniec. Ostre przedmieście zasiał lud liczny, w oczekiwaniu od rana krzątający się. Dzień był piękny zimowy, lekki przymrozek błyszczał na śniégach, słońce świeciło na czystém niebie i cisza była w powietrzu.

Z południa zaczerniał gościniec. Dojrzano ruszających się na nim wojsk, czarniejących na śniégu. Poruszyli się wszyscy; jedni śpie-

szyli wprzód, aby prędzéj przychodzących zobaczyć, drudzy pięli się wyżéj, inni jeszcze biegli oznajmywać. Wszyscy powtarzali:

— Idą już! idą już!

Hufce tym czasem zbliżały się ku miastu, a nad niémi powiewały chorągwie rozwinięte, buczały bębny i pieskliwie odzywały się piszczałki. Coraz bliżéj, coraz bliżéj, nareście ulicą wsunął się piérwszy szyk w miasto i na widok jego lud ucichł, cały w oczach, cały w przyglądaniu się. Spokojnie, powolnie szła naprzód jazda. Na jéj czele z kilką starszych jechał sam Jan Karol Starosta Żmudzki, na karym koniu po turecku osiodłanym i przybranym, w szubie axamitnéj karmazynowéj podbitéj sobolami, ze złocistemi pętlicami; na głowie jego kołpak soboli z czaplém piórem i spinką bogatą. Z pod szuby wysuwał się koniec w jaszczur i srébro oprawnéj, wygiętéj szabli. Na twarzy Jana Karola śladu poruszenia nie było, tylko mars potężny na czole, tylko warga wierzchnia wzdęta i wąs najeżony. Jedną ręką od niechcenia wiódł dziarskiego konia, drugą się w bok podparł.

Za nim jechało kilku Rotmistrzów, dalej już szła jazda, człek w człeka doborny, na koniach silnych, średniego wzrostu. Nad głowami powiewały proporczyki i świeciły wierzchołki kopij. Jechali wolno w rzędach po pięciu, spokojnie, w milczeniu. Zaraz za pierwszym ufcem jazdy, ukazały się działa i śmigownice, w znacznéj liczbie. Ciekawi naliczyli ich dwadzieścia i cztéry. Za działami znowu jechała jazda, różnie opatrzona i zbrojna, lecz wszystka doborna.

— Nie widziałeś tu, jak w Radziwiłłowskiém wojsku, karła podle olbrzyma, ociężałego Niemca, przy smukłym pacholiku Litwinie, wszyscy zdali się jednéj krwie, rodu, siły i lat, tak zręcznie ich podzielono na ufce.

Ani podobna było najciekawszym dójść liczby wojsk wchodzących, tak długo ciągnęły się one i ciągnęły; a jeszcze widać było na gościńcu daleko nieprzerwany łańcuch wijący się po górach. Już się miało ku zmierzchowi, gdy jazda wszystka weszła w miasto, a piechota sunąć się zaczęła.— I znowu do ciemnéj nocy szła piechota nieustannie.

Mieszczanie znużeni i nasyceni porozchodzili się po domach, ciekawszym cierpliwości nie stało, wreście noc nadchodząca nic już widziéć nie dozwalała. W powieściach ludu Chodkiewiczowskie siły, stały się nieprzeliczone, niezmierne, powiększono je, czyniąc sobie otuchę, w trójnasób przynajmniéj.

Gdy się to dzieje u wjazdu w miasto, Jan Karol wchodzi do swojéj kamienicy, przygotowanéj już na jego przyjęcie, ze wszystkiém swém wojskiem. Nie zsiadając z konia, wprowadza działa jedne wewnątrz, zewnątrz zostawia drugie. Kilka z nich zostaje przed kamienicą samą, w ulicy, ze strażą przyzwoitą; resztą natychmiast rozporządza P. Barbier, któren przy szpadzie, w kapeluszu, kiéruje wgłos rozstawianiem ich po murach. Większe i mniejsze armaty i śmigownice zajmują przeznaczone miejsca i czarne paszcze, wystawują na wszystkie strony. Tuż przy nich już leżą kupami ładunki, stosami kule żelazne.

Nie zsiadł z konia Jan Karol póki wszystkich swych żołniérzy nie porozstawiał, póki wszystkiemi nie rozporządził. Główny obóz

wpośrodku dziedzińców, które zalało żołdactwo, tu rozstawione kotły, rozpalone ognie, tu rzędami stoją konie przy naprędce przygotowanych żłobach. Tentent, szczęk, gwar, hałas, krzyki po całéj kamienicy, rozlegały się bezustannie. Ci szli oglądać naznaczone im na murach miejsca, inni pomagali wciągać działa, które stać miały wyżéj, tamci zdéjmowali i rozwieszali zbroje. Wódz był wszędzie, tam spójrzał, tam coś wyrzekł, tam przejechał tylko w milczeniu, rozporządził wszystkiemi, poustawiał straże, a zdawszy dopiéro pilność na Pana Mikołaja Chamca Marszałka Dworu, zsiadł z konia i udał się do Kasztellana.

Oddawna już oczekiwano go tutaj. Wojewoda Mniszech, Starosta Borysowski, Kasztellan i kilka jeszcze osób stronnictwa Katolickiego, zgromadzonych było w komnacie, któréj okna wychodziły w dziedzińce.—Ogromny ogień palił się w kominie, a na stole zastawiona była wieczerza nietknięta.

Wszyscy się ruszyli witać Starostę Żmudzkiego.

—Witajcie nam, bohatérze, rzekł Mniszech, witajcie! jużeście swoje ukończyli przecie, i hetmaństwo zdali, możecie więc spocząć z nami.

—Nareście, po całym dniu znoju, odpowiedział Jan Karol zrzucając z siebie ciężką szubę.—Nareście chwila folgi. Ale bo też naszego prowadzić niekarnego i swawolnego żołniérza, nie łacna rzecz! No! daj Boże w dobry czas, wwiedliśmy i my swoich. Może już myśleli Panowie Radziwiłłowie, że się i na dziesiątek ludzi, przeciw ich tłumom, nie potrafimy zdobyć! Ale jakkolwiek naszych mało, wolę ja tę trochę, od ich tysiąców! Mój to żołniérz co go znam dobrze i nie zawiedzie mnie, kiedy trzeba będzie począć co.

To mówiąc Jan Karol witał się i podawał ręce.

—Wszystko więc z naszéj strony gotowo na przyjęcie? spytał Kasztellan.

—Wszystko—rzekł Starosta Żmudzki, Xiężna tuż, umowa na stole, wojsko i działa dokoła—termin blizki. Czekamy Ichmościów Panów.

— A wiecie o przybyciu PP. Medjatorów od Króla Jego Mości przysłanych, spytał Alexander Chodkiewicz.

— Wczorajsza Wasza ceduła oznajmiła mi o tém. Ale panie bracie, do Radziwiłłów to, nie do nas posłowie, my wojny nie poczniemy sami.

— Zapewne, odpowiedział Kasztellan, a kiedy nas zaczepią, bronić się będziemy musieli.

— Jaka jest liczba wojsk Radziwiłłowskich? spytał Jan Karol, wiele oni tam mają zbiéraniny? i co myślą poczynać?

— Różnie różni prawią — rzekł Alexander, ale najpewniéjsza, co z dworu Xięcia Wojewody nam wiadomo, że mają blizko sześciu tysięcy ludzi. Nie licząc drobnych pocztów slacheckich i pojedyńczych ludzi, nie licząc dworskiego żołniérza P. Wojewody, mają od trzech Ostrogskich po sześćset koni i siedémset hajduków, pięćdziesiąt koni Abramowicza, Naruszewicza sto i stu hajduków, Zamojskiego z Podola dwieście jazdy pod Piotrem Zboryńskim rotmistrzem, Xięcia Kurlandzkiego raj-

tarów dwieście, którzy dla postrachu w dziedzińcach Kardynalij stoją, Starosty Mozyrskiego; ludzi ze dwie sotnie. Ot i wszystko— Byłoby czém zawojować kawał kraju.

— Cóż oni z tém wszystkiém czynić będą? rzekł Jan Karol uśmiéchając się. Dość spójrzéć tu do koła, aby zmiarkować, że cisnąc ludzi jak śledzi trzeciéj części tego tłumu, nie pomieszczą tu pod kamienicą moją, gdyby ją dokoła obsaczyć chcieli i leść na armatnie strzały, które ich pozmiatają jak muchy! W pole nas nie wywabią, szturm niepodobny, chyba wprzód nim poczną, poburzą dokoła domostwa, czemu trudno dać wiary.—Na cóż więc i do czego to wszystko? Dla pokazania chyba co mogą Radziwiłłowie?

— Takżeś to WMość Panie Starosto, pewien swéj kamienicy? rzekł Mniszech?—

— Nie potrzeba tu nawet wielkiéj znajomości sztuki wojennéj i znacznych wysileń rozumu, odrzekł Jan Karol, aby umocnić, tak samém swojém położeniem osłonione domóstwo nasze. Przystęp do niego zewsząd zagrodzony drugiemi zabudowaniami, ulice do-

koła ciasne — Najszérsza z przodu Zamkowa, w pół już żajęta stojącemi tam naszemi działami i strażą. Kędyż dostąpią? gdzie wojsko postawią i do kogo strzelać będą? Nasi ukryci za murami umyślnie wyprowadzonemi, razić ich mogą bez ustanku z góry, z ręcznéj broni, hakownic i szmigownic, gdy sami zasłonieni, spokojnie siedzićć będą. Jesteśmy tu jednem słowem, z prosta mówiąc, jak u P. Boga za piecem. — Oddane listy Królewskie? spytał po chwili.

— Jeszcze nie, rzekł Kasztellan — czekano zapewne na Was, aby je wszystkim razem wręczyć.

— Senatorowie najmocniejszy mają przykaz od Króla J. Mości, nie dopuścić wojny i zwarcia się.

— Wątpię, aby rozkazy na konfederatach skutkować miały — odpowiedział Jan Karol. Pożyjemy, zobaczemy. A Xiężna?

— Byłem u niéj wczora — rzekł Kasztellan, przestraszona, niespokojna, zwyczajnie kobiéta?

— Mogliście zbadać co myśli?

— Zawsze toż samo!

— Chciałażby, popędliwie ozwał Jan Karol — chciałażby się wyrzéc za niemi, to być nie może!

— Po ostatnich moich odwiedzinach inaczéj się spodziewam — zwolna odpowiedział Kasztellan. Byłem u niéj z wielebnym Ojcem Rutskim, który jéj dostatecznie wyłożył, jakim jest grzechem i bezprawiem podobne małżeństwo.

— Dałaż się przekonać?

— Nie wątpię — Skłonność jednak myślę zawsze taż pozostała, tylko ją teraz pobożność tamować będzie i uśmierzać. To pewna, że gdyby się nawet wyrzekła za Xięciem Januszem, nie inaczéj chyba kładąc za warunek, dozwolenie i dyspensę z Rzymu.

Jan Karol umilkł nasrożywszy się; w tem dworzanin oznajmił — Xięcia Melchiora Gedrojcia, Marszałka Dorohostajskiego i Zawiszów.

Jan Karol ruszył ich spotkać na wschodach, Kasztellan we drzwiach komnaty — Ukazał się naprzód Biskup z łagodném i u-

śmiéchającém się obliczem, potém reszta Posłów — Po zwykłych przywitaniach i kilku słowach obojętnych, podane listy Królewskie do każdego z PP. Chodkiewiczów zosobna, przy których wręczeniu, odezwał się Biskup Żmudzki, w imieniu Króla i Kraju prosząc i zaklinając, aby wojny nie poczynano.

— Piérwszy i najokropniéjszy byłby to przykład u nas, rzekł, a kto wié i wyrachuje jego skutki?

Ciężko swoje sumienie obarczy, kto piérwszy dla błahego sporu, broń na brata podniesie.

— W. X. Mość, przerwał prędko Jan Karol, nie do nas z tém odzywać się powinniście. My wojny nie rozpoczynamy, opłakujem smutną konieczność, lecz mamyż się dać powiązać i nie bronić?

— Waszmość piérwsi dajcie z siebie przykład posłuszeństwa rozkazom J. K. Mości, nakłońcie się do zgody!

— Do zgody! zakrzyknął Starosta Żmudzki. Byłoby ostatniém poniżeniem dla nas, piérwszym wyciągać rękę!

— Byłoby to prawdziwie bohatérskiéj Chrześcijańskiéj cnoty dowodem, dodał Jan Zawisza.

— No, no! lecz trudnoż znowu wymagać aniélskich cnót po ludziach z ciała i kości! rzekł Dorohostajski, nie wątpię że P. Starosta na słuszne warunki przystanie, ale —

— Możemy Wam przełożyć warunki nasze? spytał Gedrojć.

— Przyjmiemy je, rzekł Kasztellan, jeśli pochodzą od Króla, z uszanowaniem, jeśli od Was, z wdzięcznością, lecz dozwólicie wprzód się nad niemi zastanowić, czyli nas nie upokorzą. Mniéj na pozór silni, podalibyśmy się wpodejrzenie, żeśmy o sobie zwątpili, gdybyśmy zbytecznie do zgody spieszyli.

— Czegoż W. Mość Panie Kasztellanie i Wy Panie Starosto, wymagacie?

— Jasna rzecz, bo sprawiedliwa i długich tłumaczeń nie wyciąga, prędko głos zabrał Jan Karol. Co do umowy o wydanie Xiężnéj, niech ona sama rozwiąże, czy chce Xięcia Janusza lub nie. My jéj silić, poddawać nic nie będziemy. Ma lata i wolę własną.

Lecz w razie gdyby nawet zezwoliła na to małżeństwo, ono jest przeciw prawom i do skutku przyjść bez osobnych dyspens nie może. Co do nas, widzicie sami do czego nas PP. Radziwiłłowie przywiedli — Do zadłużenia i pozastawiania imion ojczystych, dla ściągnienia żołnierza, w liczbie znacznéj, do kosztów niesłychanych, na tę wojnę. Wszystkie Sądy i Trybunał sam w ręku Wojewody, wszędzie nas osądzono jak chciano, nie wedle sprawiedliwości, lecz wedle potrzeby — liczą na nas przezyski, summy ogromne, chcą nam odbiérać majątki, grożą bannicją — a potém jaka tu może być zgoda. Możemyż my ustąpić wszystkiego, dać się zniszczyć i słowa nie wyrzéc?

— Ani słowa, rzekł Zawisza, iż nie podobna po Was wymagać, zaparcia się samych siebie i swojego interessu, lecz nie macież warunków pośrednich któreby PP. Radziwiłowie przyjąć mogli, i któreby WWMościów razem uspokoiły?

— Niech wprzódy zobaczym, rzekł Kasztel-

lan, czego po nas wymagają Xiąże Wojewoda z synem.

Dajcie przykład, przerwał Biskup, pokażcie im, iż piérwsza u nas myśl o dobro Kraju i jego spokojność, niż o własną — powiedzcie swoje warunki?.

— Lecz dorzucił Jan Karol, nasze warunki nie mogą być, tylko odpowiedzią na ich wymagania. Sami zawsze toż powtarzamy, cośmy już powiedzieli. — O Xiężnéj losie, ona sama rostrzygać będzie własną wolą. Z nami niech wszystkie sprawy zmażą i skasują, pretensje, umorzą, processa zniszczą, szkody nagrodzą — a spór na wspólnych przyjaciół zdadzą.

— Sądzę, odezwał się Dorohostajski, iż PP. Radziwiłłom, przy ugodzie o nic tyle, jak o upewnienie ręki Xiężnéj Zofji dla X. Janusza, chodzić nie będzie. O to więc naprzód porozumiećby się wypadało.

Jeśli Xiężna zechce sama, a Papież dozwoli, rzekł Kasztellan spoglądając na Jana Karola — wtedy. —

— Wtedy będzie mogła być wydaną, dodał Starosta Żmudzki.

— Xiąże Wojewoda chciałby natychmiast spełnić obrzęd ślubny, w terminie umową zakréślonym, odezwał się znowu Dorohostajski — Jego prawa kościelne nie obowiązują.

— A prawo krajowe?

— Król J. Mość, uczyni wyjątek dla PP. Radziwiłłów i specjalne da pozwolenie. —

— Jeszcze go niéma?

Dorohostajski nic nie odpowiedział.

— A jeśliby się czekając dyspensy z Rzymu ślub przeciągnął, powolnie wyrzekł Biskup — wszak dozwolicie WWMMość, aby Xiąże Janusz u Xiężnéj Zofji bywał?

— Było o to osobne poselstwo — rzekł Kasztellan — i teraz jak wówczas powiadamy, odłóżmy to do terminu i końca. Zobaczemy — Jeśli małżeństwo do skutku nie przyjdzie, do czego się to zdało? Szkodliwe raczéj niż pożyteczne.

— Wojewoda, gdyby nawet co bardzo wątpię, przerwał Dorohostajski, (acz nie taję, żem z nim mówił o tém nawiasem) gdyby na-

wet jakim szczególnym wypadkiem nakłonił się na odwleczenie ślubu, wymagać koniecznie będzie wolności odwiedzania Xiężnéj dla syna; jak wprzódy domagał się tego.

Chodkiewicze milczeli, spoglądając po sobie. Wojewoda Sandomirski przystąpił do Kasztellana i szeptał mu do ucha.

— Co szkodzi dozwolić tego, warując, że odwiedziny mają być albo w Waszéj, albo w którégokolwiek z Was przytomności?—Jeśli i tego nie chcecie nawet, bądźcie pewni, że innych warunków nie przyjmą, więc i ten upadnie. Dozwólcie—Z Waszéj strony będzie to miało pozór największéj powolności, gdy w rzeczy nic z tego nie będzie. A nuż ten warunek zachęci do zgody—

— Wojny się nie lękamy — odrzekł Kasztellan —

— Lecz żądacież jéj? spytał Mniszech—pewnie nie—Wszystko co osobista Wasza godność pozwoli, uczynić możecie, aby jéj uniknąć, tego Wam nikt za złe nie weźmie.

Gdy tak umawia Kasztellana, Wojewoda

Sandomirski, podobnemi prawie słowy i argumentami, przekonać się stara Jana Karola, sędziwy Biskup z Janem Zawiszą.

Rozstępują się potém i naradzają między sobą Posłowie, szepczą Kasztellan z Janem Karolem.—

Po chwili przyjęty warunek.

— Zgoda więc—odrzekł Starosta Żmudzki zgoda więc na odwiedziny Xięcia Janusza, byleby w przytomności naszéj i z naszą wiedzą. Spodziéwam się że więcéj powolności, po nas wymagać nie będziecie. Oto są nasze warunki ostateczne:

Wojewoda powróci nam wszystkie zapisy i obligi, urzędowie je kassując i onych odstępując, processa umorzy, przezysków się zrzecze i dochodzić na nas nie będzie, sprawy o Kopyś popiérać przestanie, szkody i koszta których był przyczyną nagrodzi. Xięciu Januszowi wolny przystęp do Xiężnéj w obecności naszéj, a gdy dyspensę od Papiéża w powinowactwie otrzymamy, gdy Xiężna dobrowolnie się zgodzi na to—wtedy wydaną zostanie za Xięcia Janusza.

Gdy Jan Karol mówił, Zawisza pisał podane warunki. Nic już więcéj nie rzekli Posłowie i po chwili oddalili się. Był już późny wieczór, gdy się za niémi wrota Chodkiewiczowskiéj kamienicy zawarły.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

SPIS ROZDZIAŁÓW.